

# KAMENIA

## DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE: Zmierzch kariery Siłaczek ● Szewczenko i Polacy ● Poranek w sercu Airyki ● Perspektywy astronautyki ● Miasto Mickiewicza i Wyspiańskiego ● Z Teatru im. Osterwy ● Fiasko ● Na przedpolach „Grossaktion” ● Mój... Młody ● I in.

## POD SZTANDAREM FJN

PO raz pierwszy w naszym kraju wybory do Sejmu i rad narodowych wszystkich szczebli odbędą się łącznie. Fakt ten podnosi wagę polityczną wyborów i jednocześnie pozwala wzbogacić treść tej doniosłej kampanii politycznej.

Łączne wybory dają społeczeństwu szczególną sposobność jednoczesnej oceny spraw ogólnonarodowych i dorobku naszego województwa oraz programu wyborczego, zarówno wojewódzkiego, jak i powiatowych. Są one okazją do głębszego uświadomienia sobie przez społeczeństwo, że istnieje ścisła, nierozzerwalna więź między interesami danego terenu a interesami całego kraju.

Platformą przy opracowywaniu nowych programów jest uchwalony przez Sejm Nowy plan 5-letni. Kampania wyborcza daje możliwości dyskusji społecznej nad konkretnymi ustaleniami tego planu, dyskusji, która wzbogaci założenia poszczególnych planów i będzie mogła być wykorzystana przez nowo wybrane rady przy ostatecznym uchwaleniu terenowego planu 5-letniego.

Znajomość założeń planu 5-letniego dla konkretnego terenu pozwoli odpowiedzieć rzeczowo na wiele postulatów, które wypłyną na spotkaniach przedwyborczych, i wykaże warunki ich realizacji oraz stopień możliwości wcielenia w życie stosownie do siły, środków i potrzeb terenu i całego kraju.

Wiemy, że środki państwowe na inwestycje w naszym województwie mają wynieść 15,5 mld zł w ciągu 5 lat. Jakże więc w związku z tym istotne zadania stoją przed nami, przed partiami politycznymi i Komitetem Frontu Jedności Narodu, a więc przed całym społeczeństwem?

Po pierwsze, powinniśmy rozwinąć pracę polityczno-społeczną w takim kierunku i do takiego stopnia, abyśmy wraz z całym społeczeństwem mogli podołać zamierzeniom i planom państwowym. Powinniśmy rozwinąć inicjatywę społeczną w takim kierunku i stopniu, aby środkami państwowymi gospodarować jak najlepiej, dla uzyskania jak największych efektów ekonomicznych i społecznych. Możemy to osiągnąć przez zmniejszenie kosztów inwestycji, tak w przemyśle, jak i w rolnictwie, przez oszczędność na materiałach i udoskonalanie metod zarządzania, przez większą gospodarność. Krótko mówiąc, należy dbać o grosz państwowy, tak, jak o swój własny.

Po drugie, wiemy, że 7 mln zł mamy wygospodarować z własnych dochodów. A więc do przeszłości powinny należeć wszystkie niedomagania, jakie miały miejsce w ubiegłej 5-latec, kiedy część chłopów i inicjatywy prywatnej de facto nie realizowała swych obowiązków względem państwa. Z tym stanem rzeczy nie mogła się pogodzić zdrowa opinia chłopów, robotników i inteligencji.

Nie możemy przejść obojętnie koło tych spraw w czasie obecnej kampanii wyborczej. O naszych prawach do lepszego życia, planach na przyszłość należy mówić w ścisłym powiązaniu z pełnym poczuciem obowiązku, jaki ma do wykonania wobec Państwa każdy obywatel.

### WŁADYSŁAW GAWLIK

wiceprzewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, prezes WK ZSL w Lublinie

Powinniśmy dobrą pracą społeczno-polityczną, jak też sprawnością organów władzy, zmniejszać liczbę opieszalych i opornych płatników i uwalniać się od kosztownej i nadmiernie rozbudowanej administracji.

Realizacja nakreślonych wskaźników wzrostu życia gospodarczego wymaga wielkiego wysiłku całego społeczeństwa. Jest to sprawa ważna indywidualnie dla każdego obywatela i sprawa ogólnopolska.

Poważnie zwiększa się odpowiedzialność i zakres zadań rad powiatowych i gromadzkich w kierowaniu sprawami swego terenu.

Dalszy rozwój i umocnienie rad narodowych powinno przyczynić się do podniesienia na wyższy poziom ich działalności, jako organów przedstawicielskich, organów władzy ludu, rzeczywiście wciągających masy do rządzenia krajem. Istotne znaczenie dla realizacji tego celu może mieć rozszerzenie roli komisji rad narodowych oraz wzmocnienie pozycji społecznej radnego.

Wszystko to zależy w dużej mierze od atmosfery, którą wokół pracy rad będziemy wytwarzali.

Ustawa o radach narodowych z roku 1958 otworzyła przed terenowymi organami władzy ludowej zupełnie nowe możliwości działania i przyczyniła się do zasadniczego postępu ich pracy. Rady narodowe otrzymały rozszerzone uprawnienia, które zmieniły ich pozycję w systemie władzy ludowej powodując to, że pod ich kierownictwem przeszedł w zasadzie całokształt życia społeczno-gospodarczego terenu, z wyjątkiem spraw ustawowo oddanych pod gestię władz centralnych. Za podstawowe ogniwo systemu rad ustawa uznała powiatową radę narodową.

Zapewniona została w sposób zasadniczy samodzielność rad narodowych, rozszerzony zakres ich działania, wprowadzona zasada samodzielnego ustalania przez rady terenowych planów i budżetów, opartych w podstawowej mierze na własnych źródłach dochodu.

Ustawa stworzyła warunki dla umocnienia nadrzędności organów władzy — rad i ich sesji nad organami wykonawczymi — prezydiami. Osiągnięty został pewien postęp w dziedzinie kontroli organów przedstawicielskich nad działalnością aparatu administracyjnego rad, który dzięki nadaniu wydziałom rad uprawnień organów administracji państwowej — rozszerzył również zakres swych zadań.

W ostatnich latach w społeczeństwie naszym wybiła się dążenie, by gromadzić rady narodowe uzyskiwały uprawnienia w podstawowych czynnościach, jak wymiar i realizacja podatków. Na wniosek kierownictwa partii politycznych Prezydium WRN na razie w formie eksperymentu powierzono sprawę wymiaru i realizacji podatku gruntowego prezydium gromadzkich rad na terenie powiatu chełmskiego. Je-

TARAS SZEWCZENKO  
(1814–1861)

### Testament

Przełożył  
KAZIMIERZ ANDRZEJ  
JAWORSKI

Kiedy umrę, pochowajcie  
proch mój na mogile,  
pośród stepu szerokiego  
w milej Ukrainie,  
żeby lany zbóż szerokie,  
Dniepr, urwiska dzikie  
było widać, było słychać  
fale rwące z rykiem.

Gdy poniesie z Ukrainy  
do sinego morza  
wrażą krew... o wtedy tylko  
góry, lany zboża —  
wszystko rzucę i powrócę  
do samego Boga  
śląc modlitwy... a dopóty  
nie znam, nie znam Boga.

Pochowajcie i powstańcie,  
zrzućcie swe kajdany  
i złą, wrażliwą pokropcie  
wolność ukochaną.  
I w rodzinie nowej, wielkiej,  
w tej rodzinie nowej  
o mnie też nie zapomnijcie  
wspomnieć ciepłym słowem.

Jeżeli eksperyment ten przyniesie należyte efekty, będzie to poważna korzyść, zarówno dla chłopów, jak i dla Państwa.

(Dokończenie na str. 2)

## JAK SKROBAĆ RZEPKĘ — KAŻDY SOBIE CZY RAZEM?

JERZY DOSTATNI

Przed pięciu czy sześciu laty odbył się w Lublinie pierwszy wojewódzki zjazd pracowników budownictwa. Zjazd bardzo potrzebny i pożyteczny. Oczywiście „w ramach” odbyła się także impreza artystyczna, a jednym z punktów programu był występ ponad stuosobowego chóru. Program zresztą ograniczył się do zaprodukcowania dwóch pieśni, nagrodzonych grzeszciami tylko okłaskami. Nie mogło być inaczej, jeżeli „chór” zmontowano kilka godzin przed występem, zwołując ludzi samochodami i koleją z różnych miejscowości województwa.

Chór był oczywiście fikcją, jego kariera zaczęła się i skończyła na tym jednym występie. A kulisy sprawy znali już tylko nieliczni: podławe wykonanie dwóch pieśni kosztowało gotówką 7 tysięcy zł, nie licząc tzw. kosztów pośrednich, ukrytych w zarejestrowanym na inne konto transportie samochodowym, niepotrzebnym wywaniu ludzi z produkcji, poważnej absencji dnia następnego itd. Czyżby nieśmiały projekt, aby zaprosić na występ „Echo” i zrobić mu prezent za tysiąc czy dwa złotych spotkał się z oburzeniem. Ktoś tam nie mógłby przecież napisać w sprawozdaniu: wystąpił nasz stuosobowy chór...

Nieco później przy ul. Północnej rozpoczęto budowę wielkiego zespołu klinik Akademii Medycznej. Zgodnie

ze zdrowym rozsądkiem inwestycję rozpoczęto od budowy zaplecza. Pierwszym zaś obiektem tego zaplecza stał się murowany barak na kino z salą dla ok. 250 widzów. Gdy już roboty były poważnie zaawansowane, ktoś tam zdecydował — trzeba wyjaśnić, że na całą sprawę sama uczelnia nie miała żadnego wpływu — że sala i kabina projekcyjna muszą być przystosowane nie do filmów wąskotaśmowych, ale szerokotaśmowych. Zerwano więc ułożoną świeżo podłogę i dokonano kilku innych zmian. Całość kosztowała prawie milion złotych. Ale do dnia dzisiejszego w sali nie wyświetlono ani jednego filmu, nie odbyła się tam ani jedna impreza artystyczna. Po prostu po wydaniu miliona nie dano już pozostałym stu tysięcy, a cały niedoszły „obiekt kulturalny” zamienił się w magazyn.

Wkrótce potem przyszedł czas, gdy zaczęliśmy sprowadzać naszą narodową ekonomię z Księżycy na Ziemię. Bardzo to było potrzebne i dziś już zbieramy tego owoce, czego dowodem zupełnie inne niż przed czterema laty zaopatrzenie sklepów. Ale w gorączce uzdrawiania naszej gospodarki zapomnieliśmy, że w bilansie kulturalnym po stronach „winien” i „ma” powinno się księgować inne wartości niż zlotówki. Często, nazbyt często zaczęto traktować kulturę jak sklepik ze śle-

dziarni — jeżeli były finansowe straty, sklepik po prostu zamykano.

Proszę mi wybaczyć jeszcze jeden przykład — i to znowu z dziedziny budownictwa. Tak się bowiem złożyło, że pracowałem naówczas w tej właśnie dziedzinie naszej gospodarki. Wskutek zmian różnych cen sporządziliśmy wtedy nową kalkulację opłat za korzystanie z hoteli robotniczych. Placili zresztą nie robotnicy z własnej kieszeni, ale poszczególne przedsiębiorstwa. Otóż zarówno w nowej, jak i starej kalkulacji, przewidywano 50 groszy dziennie na każdego mieszkańca za „działalność kulturalno-oświatową”. Wynosiło to w owym przedsiębiorstwie ok. tysiąca zł dziennie. Projekt został zatwierdzony przez dyrekcję a następnie przez władzę nadrzędną. Autorów pochwalono, opłaty w nowej wysokości inkasowano punktualnie — ale i na tym się kończyło. Nie pozwolono na zakupienie chociażby jednego biletu do kina czy teatru, na sprowadzenie chociażby jednego prelegenta TWP, urządzenie jednego wieczoru autorskiego. Po zakończeniu roku zaksięgowano ok. 300 tysięcy zł „zysku”. Bardzo duży trzeba tu postawić cudzysłów, bo rzeko-

(Dokończenie na str. 11)

# POD SZTANDAREM FJN

(Dokończenie ze str. 1.)

Proces decentralizacji winien w terenie pójść dalej, aż do GRN i przejawiać się w takich dziedzinach jak:

1. Zwiększenie środków finansowych.
2. Sumy na remonty, walkę ze szkodnikami i na profilaktykę chorób zwierząt winny znaleźć się w GRN.
3. Również fundusze na sfinansowanie czynów społecznych powinny być oddane do dyspozycji GRN.
4. Położenie nacisku na zwiększenie liczby wykwalifikowanych kadr pracowników administracyjnych.

Bardzo ważną sprawą w działalności rad narodowych jest kontrola realizacji środków przeznaczonych na inwestycje. Mieliliśmy przecież takie zjawiska, że z jednej strony rady narodowe ubiegają się o dofinansowanie na różne cele — może i słuszne, ale z drugiej strony nie potrafiły w wielu wypadkach wykorzystać sum budżetowych. A co gorsze, że najczęściej niewykorzystane były sumy na takie cele, jak budownictwo i gospodarka komunalna. Nowo wybrane rady narodowe muszą poczuwać się do większej odpowiedzialności za całokształt powierzonej im gospodarki i muszą wykazać więcej gospodarności.

I jeszcze jedna sprawa. Aczkolwiek są już duże osiągnięcia, to jednak praca i rola komisji w kontroli działalności administracji państwowej ze strony rad musi być znacznie większa. Rady narodowe powinny czuć nad pracą organów administracyjnych, powinny zwracać uwagę na to, czy administracja należycie wykonuje swe obowiązki, czy doskonali i usprawnia swoją działalność dla ułatwienia życia obywateli.

Te ostatnie uwagi wypływają z życzeń i żądań społeczeństwa i z oceny trzyletniej działalności terenowych organów władzy ludowej.

Głównym celem kampanii wyborczej jest uzyskanie aktywnego poparcia całego społeczeństwa dla programu wyborczego Frontu Jedności Narodu, pogłębienie przekonania, że przede wszystkim od rzetelnej, codziennej pracy i gospodarności wszystkich obywateli zależy dalszy rozwój Polski — tempo rozwoju dobrobytu, siła kraju i wkład do sprawy pokoju.

Wzmocnienie aktywności pracy zawodowej i politycznej, przedterminowe wykonywanie planów produkcyjnych, szeroki udział we współzawodnictwie i rozwijanie czynów społecznych — będą wyrazem czynnego poparcia dla polityki Partii i Rządu a jednocześnie wyrazem jedności narodu wokół podstawowych zadań, zawartych w platformie wyborczej Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu.

Obok rozwijania inicjatywy społecznej i gospodarczej — kampania wyborcza powinna również uczynić znaczny krok w kierunku dalszego rozwoju i umocnienia szeregów PZPR, ZSL i SD, szeregów FJN.

Praca Frontu Jedności Narodu winna być prowadzona tak, aby nie tylko działacze i aktywiści najbardziej dotychczas czynni, ale i całe masy bezpartyjne mogły stawać na wezwanie organizacji partyjnych i oddać swe siły dla spraw społecznych, chociażby nawet z odsunięciem na dalszy plan spraw osobistych i własnej rodziny.

Bo powinniśmy zdawać sobie sprawę z tego, że tylko z wysiłkiem społecznym uzyskuje się wspólne dobro. W kampanii wyborczej musimy zdobyć do pracy społecznej i politycznej środowiska dotychczas obojętne na rozwój życia politycznego, jak i takie, które przyjmują postawę tzw. neutralną — w myśl zasady: „jakoś tam będzie i bez nas”. Kiedy naród podejmuje ogromny wysiłek, kiedy na czele stoją partie polityczne, organizacje społeczne i spółdzielcze, kierujące życiem dla przyspieszenia wykonania stawianych sobie zadań, mających przynieść poprawę warunków życia wszystkich obywateli, nie może być środowisk ani ludzi „neutralnych”.

Kampania wyborcza powinna włączyć wszystkich do wielkiego czynu politycznego — robotników, chłopów, inteligencję, kobiety, młodzież.

W dniu 16 kwietnia wybierając naszych przedstawicieli do Sejmu i rad narodowych zadokumentujemy nie tylko zaufanie i poparcie dla nich, ale zadokumentujemy zarazem, że jesteśmy za programem wypracowanym przez partie polityczne, za programem, który może być zrealizowany w pełni tylko wspólnym wysiłkiem całego społeczeń-

stwa — dla dalszego dobra naszego narodu, dla dalszego rozwoju Lubelszczyzny, dla zespolenia wszystkich mieszkańców pod sztandarem Frontu Jedności Narodu.

Władysław Gawlik

**N**A białej asfaltowej drodze samochód zda się stoi w miejscu, a biała wstęga przesuwa się pod nim bezzwłocznie. Jak taśma transportera niesie ona poza oknami drewniane domki pokryte charakterystycznymi dla Mazowsza gontami, kępy rachietycznych sosen pozostających po przetrzebionym lesie i brudnobiałe o tej porze piaszczyste wydmy. Opadają i wznoszą się przewody wysokiego napięcia i przydrożnej linii telefonicznej.

Szeleści gazeta i nagle głos pełen „świętego” oburzenia rozdziera senną ciszę wnętrza autobusu:

— Jak można... jak można w ten sposób pisać!

Wszyscy na raz spoglądają na mężczyznę w średnim wieku. Trzyma na kolanach wielką płachtę bodaj „Trybuny Mazowieckiej” i wskazującym palcem uderza w wielkie litery tytułu. Korpulentna jejmość wzrusza ramionami, robotnicy powracający z pracy podejmują przerwana rozmowę. Z zawodowej ciekawości przysiadam się do tego mężczyzny. Miał pretensję do redakcji o artykuł na temat tak zwanego eksperymentu węgrowskiego. „Powiat zabity deskami”, „diabeł mówi dobranoc”, „dopiero eksperyment węgrowski wniósł światło” itp. Zawarliśmy znajomość. Nazywa się Marek Sówka, jest kierownikiem „ogniska” przy siedmioklasowej szkole w Zawadach, prowadził zespół teatralny. Powracał z Warszawy z jednej z rozlicznych konferencji.

Takie było moje pierwsze spotkanie z „węgrowskim eksperymentem”, dla którego poznania znalazłem się tym razem na terenie województwa warszawskiego.

Tak się złożyło, że i ja miałem w tym dniu pretensję do Andrzeja Albigowskiego, który w 3 numerze „Kamery” zamieścił rozszerzoną informację pt. „Zmowa działania” o ruchu kulturalno-oświatowym w naszym powiecie lukowskim. Można tam wyczytać:

„Powiat lukowski jest jednym z tych powiatów, o których mówi się w potocznej charakterystyce, że zabity deskami, że diabeł mówi dobranoc. Powiedzonka ta w mniejszym stopniu odnosi się do samego powiatowego miasta, natomiast w całej „krasie” ukazuje sytuację lukowskiej wsi. Bo i to, że zabita deskami, i to, że diabeł mówi dobranoc, jest tu w przenośni prawdą”.

W tej samej informacji czytamy dalej: „Adamów. Czworokątny rynek wskazuje na to, że miasto tu przestało istnieć niedawno, zachowała się jeszcze konwencja urbanistyczna i jarmarki. Co tam istniało do niedawna poza pijaństwem i nudą trudno powiedzieć. Chyba po klasztoru odseparowane od rzeczywistości liceum czyli jedenastolatka i GS. Oba, jak dorożkarskie konie w okularach, nie dostrzegają niczego obok, nie dostrzegają życia, ciągną jedynie swe wózki do ciasno pojmanego celu”.

Spokojni są nauczyciele w Adamowie, o wiele spokojniejsi od Marka Sówki z Zawad w powiecie węgrowskim, jeśli kol. Albigowski nie otrzymał jeszcze od nich takiej reprimendy, aby nauczył się na przyszłość zrzucać okulary, gdy zasiada nad białą kartą papieru. Z żenującą niefrasobliwością autor cytowanej informacji stwierdza, że we wszystkich miejscowościach powiatu lukowskiego „oświata i kultura ograniczała się do niedawna do nauki w szkole i zabaw gęsto zakrapianych ognistą wodą, a czasem krwią podchmielonych. Dopiero ostatnio z inicjatywy KP PZPR zwołana została Powiatowa Konferencja Kulturalno-Oświatowa. I sekretarz Wiktor Chojnacki i członkowie Egzekutywy szybko pojęli potrzebę koordynacji zamierzeń, potrzebę ożywienia życia kulturalnego. Rozpoczął się okres dużego zainteresowania sprawami kultury i podejmowania wielu cennych inicjatyw”.

Wniosek z wywodów kol. Albigowskiego: usunąć ze stanowiska i sekretarza KP w Łukowie, zmyć głowę wszystkim członkom Egzekutywy, ba — przyczepić się można do wszyst-

kich władz wojewódzkich. Cóż to? Przez szesnaście lat Polski Ludowej liceum w Adamowie, „jak dorożkarski koń w okularach ciągnął swój wóz do ciasno pojmanego celu”, a ci ludzie milczeli? Przez szesnaście lat Polski Ludowej „kultura i oświata ograniczała się... do nauki w szkole i zabaw zakrapianych wodą ognistą”, a tow. Chojnacki nie wpadł na ten pomysł, aby wcześniej wystąpić z inicjatywą zwołania Powiatowej Konferencji Kulturalno-Oświatowej?

Ale dość żartów. Każdy, kto trzeźwo i sprawliwie ocenia rozwój oświaty i kultury na Lubelszczyźnie, przyznać musi, że właśnie w tych dziedzinach województwo nasze uczyniło największy krok naprzód. Chodzi nie tylko o liczbę szkół, domów kultury czy świetlic, chodzi także o te często nieuchwytnie i niewymierne zmiany zachodzące w sposobie myślenia ludzi, o dojrzewanie warunków pozwalających na dalsze postępy. Jedno z praw odkrytych przez naukę marksistowską głosi, że w okresach wielkich przemian rewolucyjnych świadomość ludzi pozostaje w tyle osiągnięć ekonomicznych. Choć znamy to prawo, nie pozostajemy ponad nim, lecz podlegamy mu. W zakresie oświaty i kultury znajomość tego prawa jest tym ważniejsza, że obydwie dziedziny nie znoszą gwałtownych wstrząsów, wybiegania naprzód. Zagadnienie dojrzewania warunków pozwalających na krok w przód jest tu szczególnie ważne.

## ZMIERZCH KARIERY SIŁACZEK

ADOLF LEKKI

Gdyby kol. Albigowski zastanowił się, jaką rolę odegrała jedenastolatka w Adamowie, gdyby spojrzął na nią nie jako na „dorożkarskiego konia ciągnącego swój wóz do ciasno pojmanego celu”, lecz na placówkę spełniającą swoją funkcję społeczną w przygotowaniu nowych warunków, pozwalających dzisiaj „eksperymentować”, nie skrzywdziłby tak bardzo jej nauczycieli, a w ich osobach nauczycieli wszystkich szkół wiejskich.

Zgadzałem się jadąc do Węgrowska z Markiem Sówką, gdy twierdził:

— Czas by już skończyć z „deskami”, „diablami” i „dobranocą”. Czas zdać sobie w pełni sprawę z szesnaścieletnich przemian i naszych dzisiejszych poczynań nie odrywać od nich. Stanowią one bowiem kontynuację dzieła zapoczątkowanego wtedy, gdy na murach miast i plotach wiejskich pojawiły się pierwsze plakaty z Manifestem PKWN.

Popioły ludzi mordowanych w obozie śmierci w Treblince nie użyźniły węgrowskich pól. Nic dziwnego, że z przeludnionych wsi tuż po zakończeniu działań wojennych wyjechało na Ziemię Zachodnią około 20.000 osób, aby szukać znośniejszych warunków bytowania. Nie mógł tych ludzi żywić powiat zniszczony przez okupanta, który na tym terenie koncentrował swoje wojska do ataku na Związek Radziecki, zorganizował obóz śmierci, a wreszcie przeprowadził pacyfikację, by zniszczyć bazę materialną i osobową ruchu partyzanckiego.

Człowiek w pocie czoła zdobywający kawałek chleba nie ma czasu i nie odczuwa pragnienia sięgać po książkę. W okresie przedwojennym wystarczała więc dla całego powiatu jedna biblioteka. I tak czytelnicy ścieżek do niej nie wydeptali. Życie kulturalne skupiało się przede wszystkim w 37 (jak na jeden powiat to chyba wystarczająca ilość) dworach posiadających przeciętnie po 7.000 ha ziemi!

Na taki to teren przyszła nowa Polska. Wraz z nią na obszar byłego obozu śmierci zwalły się hordy „poszukiwaczy złota”, zaktywizowali swoją działalność „handlarze żywym towarem” i „przemysłowcy”, produkujący bimbler w takich ilościach, że można w nim było powiat utopić. Lecz nie te męty społeczne charakteryzowały nowy okres, jak nie piana burząca się na głębinie świadczy o jej najśliszszym prądzie. Najdrowsza, najofiarniejsza część społeczeństwa od pierwszych lat po wyzwoleniu stanęła do twórczej pracy. Wśród tej części na pierwszym miejscu wymienić trzeba nauczycieli.

Można by wiele pisać o kilkunastoletnich osiągnięciach powiatu węgrowskiego, o nowych zakładach produkcyjnych, o odbudowanych szkołach, o sieci komunikacyjnej i świetlicach wiejskich. Jest faktem bezspornym, że w tym właśnie powiecie szybciej niż gdziekolwiek indziej narastały warunki pozwalające na uczynienie zdecydowanego kroku naprzód w pracy oświatowo-kulturalnej. Z jednej strony wyrosła w pracy, zahartowała się i nabyła doświadczenia kadra pracowników, — nie, fanatyków (w najlepszym słowa tego rozumieniu) takich kierunków działania. Z drugiej — powiat należał do najbardziej zacofanych. Wielkie nakłady państwa na świetlice wiejskie, na sport i turystykę przynosiły znikome efekty wychowawcze. Sprawdzić, jak w takich warunkach przyjmują się nowe formy pracy kulturalno-oświatowej — to warte było eksperymentu.

Z inicjatywy Centralnej Komisji Koordynacyjnej eksperyment taki podjęty został w 1959 r. we wszystkich szkołach powiatu węgrowskiego.

Informowałem powyżej, że mój rozmówca z autobusu kursującego na trasie Mińsk Mazowiecki — Węgrowsko, Marek Sówka jest kierownikiem „ogniska” przy siedmioklasowej szkole podstawowej w Zawadach. Lecz jaką treść kryje w sobie to nowe bądź co bądź określenie (nie równoznaczne przecież z ogniskiem, z ogniskiem harcerskim itp.) dowiedziałem się dopiero od kierownika referatu kultury Prez. PRN w Węgrowsku, Mariana Jakubika. Nim na chybił-trafił wskazałem na mapie kilka punktów i powiedziałem, że „tam właśnie chcę jechać” — opowiadał:

— Odstąpiliśmy od nazwy „świetlica”. Sugeruje ona przecież przewagę pracy kulturalnej nad oświatową, a naszym założeniem była zmiana tych proporcji. Nasze „ognisko” to punkt pracy oświatowo-kulturalnej (właśnie tak) istniejący przy szkole, kierowany przez nauczycieli. Dział punktu takie istnieją przy wszystkich szkołach. Skończył się eksperyment, trwa normalna praca. Lecz początki nie należały do łatwych. W powiecie są 224 wsi skupione w 27 gromadach. W której gromadzie, w której wsi ulokować „ognisko” — oto było pierwsze pytanie. Aktyw oświatowo-kulturalny, który je rozwijał postanowił: „warunek pierwszy — inicjatywa społeczna. Nie można lokować „ogniska” tam, gdzie ludzie tego nie chcą. Nie brać pod uwagę odległości od miasta powiatowego, dróg dojazdowych, lecz możliwości kadrowe — oto warunek drugi”. W ten sposób wytypowaliśmy 51 szkół i 6 punktów w wynajętych salach. W szkołach z reguły zajęliśmy po jednej izbie lekcyjnej na „ognisko”.

— Nie było oporów?  
— Jeszcze jakie. Były, przeszły. Dzisiaj ich nie ma. Każdy nauczyciel zdaje sobie sprawę, jak wielkie efekty wychowawcze uzyskuje przy stałym kontakcie z rodzicami dzieci.

Dla zapoznania się z pracą ognisk wybrałem Poniatowo, Miedzno i Leśnogórę.

W Poniatowie, oddalonym od oświatowej Treblinki o kilka zaledwie kilometrów nagminnie był prowadzony w okresie okupacji „handel żywym towarem”. Znane są wypadki, że nawet ojcowie sprzedawali swe córki na jedną noc żadnym nowym wrażeń i nie liczącym się ze złotem SS-manom.

Powoli, bardzo powoli przenikała do ludzkich umysłów nowa rzeczywistość. Dzisiaj, starsze kobiety przychodzące do „ogniska” przynoszą z sobą domowe pantofle, aby nie brudzić podłogi. Poważni mężczyźni korzystają z przerwy w zajęciach, by wypalić na korytarzu papierosa.

Kierownik tego „ogniska”, Jan Kobus, chętnie opowiada o pracy; o tym, że plany muszą być (koniecznie) sporządzane przez aktyw „ogniska”, a nie narzucane z góry, o zespole teatralnym, o inicjatywie mieszkańców wsi, zmierzającej do budowy Domu Kultury, czynem społecznym. Tylko o własnym wysiłku, o nieprzespanych nocach i dziesiątkach odwiedzin u mieszkańców, nie chce opowiadać — dowiadując się o tym od osób postronnych.

W Leśnogórce jest jednoklasowa szkołka. Izba lekcyjna mieści się w wynajętym od chłopca pomieszczeniu. Nauczycielka, Aniela Gerlińska, jest wyraźnie zaskoczona naszymi odwiedzinami. W salce tłoczno, lecz czysto. Odbywała się właśnie pogadanka z cyklu „gospodni doskonała”. Droga do owej pogadanki była trudna. Zaczęło się od zebrania koła ZMW, na którym

(Dokończenie na str. 11)

# SZEWWCZENKO I POLACY

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

**P**RZEGLADAM na nowo, kartkując „Pamiętnik” Tarasa Szewczenki. Jaka szkoda, że przeżycia swe zaczął notować dopiero po dziesięciu latach swej katorżniczej służby wojskowej (od 12 marca 1857 r.), że obejmuje on tylko 14 miesięcy, z których zaledwie siedem tygodni przypada na ostatnie chwile jego pobytu w twierdzy nowopiotrowskiej! Bo zaczął go pisać wtedy, gdy nadzieja uwolnienia zaczęła już przyoblekać szaty realne. Ale kreśląc swoje notatki nieraz cofa się ku minionym latom, spędzonym w okropnych warunkach wśród mętów, z których składało się jego otoczenie, zarówno najbliższe (żołnierze), jak i nieco dalsze (oficerowie). Jedynie jasne promienie oświetlające ponure jego ówczesne życie — rzucali Polacy, którzy znaleźli się również w kazamatach za swą patriotyczną działalność, za udział w powstaniu, którzy go rozumieli i wśród których miał bliskich przyjaciół. W „Pamiętniku” też gdzieśgdzie o nich wspomina.

A więc o kapitanie Mostowskim, który „w czasie polskiego powstania 1830 r. był w artylerii ówczesnej polskiej armii, a potem jako jeniec wojenny został przydzielony do wojska rosyjskiego w charakterze szeregowca”. „Lubię go i szanuję. To nie plotkarz ani człowiek powierzchowny, to człowiek pozytywny, prawy i wysoce szlachetny”.

Inny Polak, Seweryn Przewłocki, gdy wyjeżdżał po odbyciu kary do ojczyzny, ofiarował Szewczenkę „Umiętno piękne” K. Libelta, w którym poeta się rozczepiał. Wspomina też o Fijałkowskim, który śmiał się z Szewczenki, że mu ta nudna lektura się podoba. Gdy Fijałkowski, zwolniony wraz z poetą, wyjechał nieco wcześniej, zapisuje w „Pamiętniku”: „Zyczę ci lepszej przyszłości, Fijałkowski. Całkowicie zasłużyłeś na nią”.

Pod datą 18 października 1857 r. czytamy: „Napisałem i wysłałem listy do miłych przyjaciół: M. Łazarewskiego i B. Zaleskiego”. Bronisław Zaleski to rodzony brat poety — Bohdana Zaleskiego, jeden z najsłodszych drahów Szewczenki. Drugim takim był późniejszy bohater powstania styczniowego Zygmunt Sierakowski, o którym wspomina w zapisku z dnia 3 stycznia 1858 r. Z „Pamiętnika” dowiadujemy się, że w Petersburgu tegoż roku (zap. z dn. 28 marca) poeta spędził wieczór u Białozierskiego „mego sprzymierzeńca i sąsiada więziennego z 1847 r.” i spotkał u niego Polaków „współwygnańców orenburskich: Sierakowskiego, Staniewicza i Żeligowskiego (Sowę). Radosne wesołe spotkanie! Po serdecznych przemówieniach i miłych rodzimych pieśniach — rozstaliśmy się”.

Polacy w życiu Szewczenki odgrywali dużą rolę: to rządcą Dymowski w dobrach Engelhardta, u którego w poddaństwie była rodzina Szewczenków, uczył go po polsku i widząc zdolności chłopca do rysunków zaproponował obszarnikowi, aby go przyjął do siebie w charakterze „kozaczka pokojowego” i domowego malarza. W Wilnie, gdzie przebywał jakiś czas ze swym panem i gdzie uczył się u malarza Rustema (spolonizowanego Turka), Szewczenko zakochał się pierwszą młodzieńczą miłością w ubogiej szwaczce Polce — Goszkowskiej. Później już wykupiony z poddaństwa, gdy studiował w petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych, przyjaźnił się i mieszkał wspólnie z Polakiem Leonardem Demskim i po jego przedwczesnej śmierci na gruźlicę zajął się jego pogrzebem i wespół z księdzem katolickim Posiadą wystawił mu pomnik. Ale węzły najsilniejszej przyjaźni złączyły go ze wspomnianymi już wyżej Bronisławem Zaleskim, Zygmuntem Sierakowskim i poetą Edwardem Żeligowskim (Sową). Z dwoma z nich przebywał na wygnaniu, po wcześniejszym zwolnieniu ich prowadził z nimi ożywioną korespondencję. Do Zaleskiego pisał: „Tyś moim jedynym wiernym i niezmiennym korespondentem”, a w innym liście: „Bez ciebie jestem całkowitą sierotą w bezładnym kraju orenburskim. Do kogo w tej pustyni przyłgnę sercem, gdy ciebie nie ma?” A Zaleski mu odpowiada: „Niewielu będzie cię kochać szczerzej ode mnie”. I po zwolnieniu pomagał pocie i przysyłał mu książki



i przybory malarskie, załatwiał różne polecenia. Szewczenko poświęcił przyjacielowi swój znany wiersz „Do Polaków”.

Trwała przyjaźń łączyła go i z Sierakowskim, który nazywał Szewczenkę po ukraińsku bat'ką i który po wyjściu na wolność wiele uczynił dla uwolnienia poety.

Żeligowskiego poznał osobiście dopiero na wspomnianym w „Pamiętniku” wieczorze u Białozierskiego. Ale będąc na zesłaniu (w różnych miejscach) pisywali do siebie. Szewczenko dedykował mu swój poemat „Warnak”, a Żeligowski wpisał mu do diariusza wiersz „Do brata Tarasa Szewczenki”. Oprócz wymienionych trzech przyjaciół poeta na wygnaniu żył bliżej z innymi Polakami: Otonem Fiszerem, Ludwikiem Turną i księdzem Zielonką.

W stulecie śmierci wielkiego poety ukraińskiego dobrze o tym przypomnieć. Autor krwiożerczych „Hajdamaków” miał wśród Polaków tylu bliskich sobie ludzi. Ale bo ten poemat nie był antypolski, tylko antyszlachecki, antyobszarniczy. Kulturę polską poeta bardzo cenil i wiele jej zawdzięczał. Znał utwory Krasińskiego, Mickiewicza (którego wpływem wyraźnie ulegał w poemacie „Sen”), Goszczyńskiego, Czajkowskiego i in., Lelewela nazywał swym „bożyszczem”, a Libelta, jak już wiemy, stanowił jego lekturę w ostatnich tygodniach pobytu na wygnaniu.

BRANKO ČOPIĆ

## Pieśń poległych proletariaczyków

„...a w trzynastą, ciemną i deszczową noc, kilka dziesiątków proletariaczyków, okrążonych przy górskim szpitalu, ruszyło do ostatniego ataku przeciw dziesięciu razy liczniejszemu wrogowi i po bohatersku padło w nierównej walce...”

Według pewnego raportu

W naszym kraju zboża kloszą się, naszymi zasiane  
czeka nas żniwo i pieśń nie dośpiewana,  
wieczorna, tęskna, cichutka,  
a myśmy padli, towarzyszu,  
padło zboże, młode, zielone, wiosenne wczesne żniwo,  
zamglone smutki, wśród szeptu deszczu, nad martwą  
krążą pieśnią.

# ŚWIAT W INNYCH BARWACH

EDWARD LIGOCKI

Przesunęło się przede mną około 6000 km za oknami wagonów — znany krajobraz, znane na pamięć nazwy mijanych miast. Ani jednego odcinka drogi nieznannej — dworce kolejowe, pobrzeża rzeczne, wydmy, pagóry, wieże kościelne, drogowskazy znanych okolic. A jednak kalejdoskop był inny. Ramy znajome wypełnione zmienionym kolorem życia.

Późnym wieczorem mijamy granicę polską. Za oknami ciemność i mgła. Pierwsze nowe wrażenia wzrok odbiera na przedmieściach Berlina — zielone światła uliczne, zielone latarnie na mostach, zielonawa poświata, spływająca na fale Szprewy. Dalej nie nadzwyczajnego — orgie neonów, jaskrawych, krzykliwych, niezharmonizowanych zupełnie, poplątanych beładnie. Chaos brutalnych barw, a później, znowu, mosty w zielonawych naszyjnikach latarni, woda ciemna, noc jeszcze ciemniejsza. I tak przez całe Niemcy, wschodnie i zachodnie.

Zamajaczył o świcie zarys kolońskiej katedry nad Renem, tuż obok dworca. Rozjaśnia się na dobre między Kolonią a Akwizgranem. W tym mieście, gdzie w podziemiu katedry siedzi na tronie Karol Wielki umarły, przypomina się ostatnie wrażenie z 1939 roku. Tyle było hackenkreutzów na murach, na płotach, wszędzie. Pochowały się teraz i jakoś ich nie widać.

Herbestal, granica belgijska. Ostatnia kontrola dokumentów. Odtąd już nie zapyta nikt o nie. Celnicy włączają się po wagonach znużeni, pro forma. Ceny widocznie wszędzie zrównane, o szmuglu nikt nie myśli.

Zaraz za francuską granicą, w Aubagne, pociąg zapełnia się do ostatniego miejsca. Szybkość się zwiększa, pierwszy przystanek Paryż. Noc już zapadła.

Ostatnie sto kilometrów drogi przeleciało prędzej niż pięć od północnego dworca w kierunku łacińskiej dzielnicy. Taksówka wpada chwilami w rozpęd — wszyscy jeżdżą dwa razy prędzej niż u nas — a później, co parę minut, staje przed czerwonymi światłami i czeka. Najtrudniej jest przejechać przez wielkie arterie. Samochodowe szaleństwo zdobyło miasto.

(Dokończenie na str. 5)

Martwe są ręce i martwe karabiny,

w śmierci na baczność stajemy,

towarzysz przy towarzyszu;

ich zaś było... ich było —

dziesięciu na jednego.

Dziesięciu na jednego wśród deszczowej nocy, a

myśmy byli znużeni.

byliśmy głodni i mokrzy — dziesięć bestii na jednego.

Jeden na dziesięciu, jeden na dziesięciu! O, czyż i tak

można?!

Tak, — jesteśmy proletariaczykami!

Kiedy wyszliśmy z domu, szło z nami lez morze

i rodzinne troskliwie szumiały góry;

O, czy też wrócą tu kiedyś oni?

Czekają matki staruszeki, bezsenne płyną noce,

i wzrok czuwa wzdłuż drogi:

postaniec od nas się zjawi.

Zjawi się nowa młodość, dni przynosząc nowe

i kończąc nasze pieśni nie dośpiewane,

w żywym ogniu wykute.

O, pieśni te myśmy zaczęli, nimi mówimy z oddali,

siostra rozpozna w nich brata, kochanka —

dziewczyna.

żałosna zaś matka — syna.

I dzień nadejdzie sławy, nasze będzie zwycięstwo,

znikną dzikie zwierzęta,

z oddziałami Wolności iśe będą wtedy

zgodnym marszem również polegli

proletariacycy.

Z serbochorwackiego przełożył

Stanisław K. Papierkowski

PATRICE  
LUMUMBA

## Poranek w sercu Afryki

Według wersji  
rosyjskiej przełożył

JERZY  
PLEŚNIAROWICZ

Cierpiałeś, synu Afryki, tysiąc lat  
I na pustyni wiatry tułaczce rozrzucały twoje popioły.  
Za sprawą twoich ciemiężców wznoszono dumne świątynie,  
By mogły mieszkać cierpienia w twej nieposłusznej duszy.  
Tak podzielone były prawa:  
Prawo białych panów do kańczuga i pięści  
I twoje niezmiennie prawo do śmierci,  
Do placu.  
To oni twoim bóstwom nałożyli maski pogardy  
I zakuli je w kajdany.  
Nawet w dżunglach byłeś bezbronny:  
Tam śmierć o stu twarzach  
Krok twój śledziła chciwym okiem żmii,  
Pochylała się nad tobą  
Każdą galezią,  
Każdym wierzecholkiem drzewa,  
By ciało twoje i twoją umęczoną duszę,  
Objąć okrutnie ostatnim uściskiem.  
A potem na twojej pierś  
Osiedlili żmiję.  
Wiali w ciebie odrętwiający jad alkoholu.  
Za tani blask brzękadł  
kupili twoją żonę — skarb twój jedyny.  
W noc ciemną zrywały się tam — tamy,  
Zeby z lepiankę roznieść po ziemi  
Pieśni pogrzebne.  
A kiedy niepohamowana wściekłość

podpalała nocą twoją krew,  
Tańczyłeś przy ognisku, krzycałeś  
drząc od gniewu,  
Od pasji ojców, co od wieków kipiła w sercach,  
Jak gniew burzy twój gniew wyrwał się z ciebie  
Uchodząc w słowie, w muzyce stu pieśni.  
Niespodziewany głos tam — tamów  
mówił o proteście twoim  
I grzmiał przez cały kontynent gigantycznym przypływem.  
Prerażony świat ocknął się wtedy i zdziwił,  
Gdy przebudził go rytm namiętny,  
Rytm krwi i pieśni.  
Pobledli twoi ciemiężcy słysząc nieznanym im śpiew.  
Rozświetlający ciemność jasnym płomieniem prawdy.  
Widzisz mój bracie, świt nadechodzi, świt!  
Widzisz odbłaski brzasku na naszych radosnych czołach:  
Oto w starej Afryce, bracie, zaplonie nowe jutro.  
Nasza będzie ta ziemia i woda i rzeki potężne.  
Niegasnące słońca pochodnie  
Zapłoną jasno, osuszają  
Lzy w oczach, plwociny cudzoziemskiej wzdargy na twarzach.  
I kiedy zerwiesz kajdany,  
Łańcuchy oniemiałych stuleci,  
Ty, wolne Kongo, dźwigniesz się z czarnej ziemi  
Nieugięte, dzielne Kongo,  
Kongo — czarny kwiat, młoda lodyga,  
Co z czarnych nasion w górę wyrasta.

**P**RAWIE naprzeciw domu, w którym mieszkaliśmy, nieco w głębi, w cieniu liści drzew wznosił się obszerny i okazały gmach \*). Zbudowano go przed wojną, celem pomieszczenia jakiejś nader ważnej akademii duchownej wojującego prawosławia. Obecnie oddano go na użytek szkolnictwa. Mieściło się tam chelmskie gimnazjum im. St. Czarnieckiego. Dyrektorem uczelni tej był Wiktor Ambroziewicz, mężczyzna okazały, pełen dostojności i poczucia własnej wartości. Cieszył się w mieście autorytetem nie byle jakim, tym bardziej, że większość inteligencji i mieszczaństwa losy swej progenitury powierzyła w jego wytrawne ręce.

Do tegoż dyrektora pewnego dnia udał się stryj, by postarać się umieścić mnie w gimnazjum. Było to w pierwszej połowie grudnia. Niestety, wizyta nie dała upragnionego skutku. Dyrektor grzecznie ale stanowczo odmówił. Świadectwo moje z ukończenia sześciu klas wraz z promocją do siódmej, wydane przez Polską Szkołę w Żytomierzu, uznał za bezwartościowy świsstek papieru. Ani czas wydania tego dokumentu, ani warunki, w jakich został wystawiony — nie mogą absolutnie być sprawdzianem wiedzy i przygotowania ucznia. Musiałbym zdawać egzamin ze wszystkich przedmiotów, co wobec spóźnionej pory jest niemożliwe. Bardzo współczuje losom wszystkich repatriantów, ale zasad swych z tego tytułu nie zmienię. Stryj wrócił do domu zmartwiony i kwaśny. Od wielu lat nikt mu tak stanowczo nie odmówił.

Szczerze mówiąc, miał dyrektor swoje racje. Ze świadectwem żytomierskie było lichym sprawdzianem mojej wiedzy, wiedziałem o tym sam najlepiej. Wprawdzie na podstawie takich samych świadectw upchano dwóch moich młodszych braci w prywatnej szkole w Lublinie, ale tam dyrektor był naszym kuzynem i patrzył przez palce na przepisy. Rok szkolny zaczął się od dawna. Moi koledzy byli już mocno zaawansowani w naukach. Trudno ich było dogonić. Byłem jednak młodzieńcem niesłychanie odcytanym, o świetnej pamięci i bardzo pewnym siebie. Uważałem, że jestem dostatecznie przygotowany w zakresie nauk humanistycznych, a inne przedmioty opamiętam w ciągu roku. Toteż decyzję dyrektora, który nie chciał mnie nawet dopuścić do egzaminu, uważałem za wielce krzywdzącą. Tego samego zdania byli wszyscy domownicy, zgromadzeni wieczorem przy kolacji.

Stryj ciągle jeszcze przeżywał despekt, który go spotkał w postaci odmowy, stryjka zaś zapłonęła świętym gniewem i postanowiła natychmiast pouczyć niesforne oponenta, że ona jest w Chelmie ważniejszą osobą. „Skoro Ambroziewicz nas nie chce słuchać, to będzie musiał posłuchać Ministerstwa”. Natychmiast poszły w ruch wszelkie stosunki i koneksje, a że kumoterstwo jest niewątpliwie najbardziej ludzkim uczuciem, niezależnie od panujących ustrojów, dosłownie w przeciągu tygodnia przyszło z Ministerstwa Oświaty zezwolenie dla mnie na składanie egzaminu do klasy siódmej gimnazjum chelmskiego.

Radość w domu zapanowała niebywała z powodu takiego tryumfu i pogrzebienia dyrektora. Radość ta była nieco zmażona myślą o czekającym mnie egzaminie, niewątpliwie w niezbyt sprzyjających warunkach. Byłem jednak dość pewny siebie, gdyż uważałem, że moja wiedza w dziedzinie literatury i historii oraz znajomości obcych języków otworzy mi wierzje niedostępnej uczelni. W rodzinie wszyscy liczyli na mnie jak na Zawiszę. Nikt nie miał najmniejszej wątpliwości co do pomyślnego wyniku egzaminu. Toteż i ja zacząłem rozpraszać czarne myśli, nie mogłem przecież im zrobić zawodu.

Przez te kilka dni, które mi pozostały do wyznaczonego terminu, już się nie uczyłem wcale. Chodziłem na spacer z piękną kuzynką, od czego mi się nieco zakręciło w głowie, wieczorami pisywałem wiersze i w ogóle było bardzo dobrze. Pogoda się poprawiała. Spadł piękny, gęsty śnieg. Powietrze było czyste i pachnące. W tym obramowaniu Chelmu wydał mi się o wiele piękniejszym i ciekawszym. Dokoła wszyscy wtedy śpiewali piosenki z operetki „Księżniczka Czardasza”, najmodniejszego przeboju. Od matki otrzymałem wiadomość, że po umieszczeniu młodszych braci w Lublinie też u rodziny, pojechała do Lubomia urządzać od nowa gniazdo rodzinne. Ojciec wtedy był jeszcze zdrowy i powoli opanowywał skomplikowane arkana administracji i jeszcze trudniejsze — aprowizacji młodego

państwa polskiego, na odpowiedzialnym stanowisku referenta wyżywienia. Na razie wszystko się układało prawidłowo.

Egzamin miałem składać na raty. Ponieważ dla mnie jedynego nie potrzebowali powoływać specjalnej komisji, poszczególni profesorowie w trakcie lekcji w klasie mieli mnie przepytwać, rozłożone to było na kilka dni. Na pierwszy ogień poszedł „polski”. Uważałem to za bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności. Moje przygotowanie w tym wypadku było bardzo gruntowne, polegające na kolosalnym odcytaniu, co przy świetnej pamięci powinno dać efekt doskonały. Spodziewałem się, iż tak ośnie i oczaruję nauczyciela, że nie tylko uzyskam najwyższą ocenę, ale ponadto ten wynik będzie rzutował na inne przedmioty i na całość egzaminu. Toteż pewny siebie i z doskonałym samopoczuciem udałem się owego ranka do gimnazjum. Polonistą był dr Ludwik Kamykowski. On to miał sprawdzić zasób mojej wiedzy i wydać o niej właściwy osąd. Mężczyzna niewysoki, krępy, o wyrazistych i kanciastych rysach, zrobił na mnie wrażenie raczej hreczkosiej, a nie naukowca. W ciągu niespełna pół godziny, na podstawie analizy wiersza Mickiewicza „Już się z pogodnych niebios ośma zdarła smutna”, udowodnił i wykazał wobec całej klasy, że w dziedzinie literatury polskiej jestem kompletnym ignorantem, że nic nie umiem i nic nie rozumiem i co gorsza, że nawet nie ma nadziei, bym w przyszłości coś osiągnął. Można powiedzieć, że stał mnie na proch, unicestwił całkowicie. Przy

# Fiasko

KONRAD BIELSKI

tym rubaszny humor egzaminatora, jego niewybredne dowcipy z racji moich niefortunnych odpowiedzi, przy ogólnym aplauzie obecnych w klasie uczniów, dokonali reszty.

Opuściłem szkołę oszołomiony, nie bardzo orientując się, co się właściwie stało. Do domu przyszedłem jak pijany, na mnóstwo pytań, jakimi mnie zasypano, nie potrafiłem dać rzeczowej odpowiedzi. Wiedziałem, że jest coś nie w porządku, że wynik egzaminu absolutnie nie jest sprawdzianem mego przygotowania, z drugiej zaś strony nie umiałem wytłumaczyć, dlaczego na żadne z pytań nauczyciela prawidłowo nie odpowiadałem. Jednocześnie zastanawiałem się, czy jest sens przystępować do dalszych egzaminów wobec tak zdecydowanego niepowodzenia.

Był jeszcze ktoś, kto będąc świadkiem mojej klęski nie śmiał się razem z innymi, lecz uważnie słuchał i nawet notował niektóre pytania. Był to uczeń siódmej klasy Henryk Biernacki, korepetytor Józia, na skutek tego często przebywający w domu stryjostwa. On to opowiedział z detalami przebieg owego zdarzenia i poradził złożyć podanie o dopuszczenie mnie do powtórnego egzaminu przed komisją, gdyż forma i zakres tego, co się odbyło, odbiegały daleko od normy i przyjętych obyczajów.

Stryjenka rażno zakrzętała się około tej sprawy, zostało złożone odpowiednie pismo, zaopatrzone nawet w autentyczne cytaty, których dostarczył usłużny Heniś, i ku memu ogromnemu zdumieniu został wyznaczony z tego samego przedmiotu ponowny egzamin, który miał się odbyć w obecności dyrektora.

Nie powiem, abym był zachwycony. Wprawdzie zyskiwałem jeszcze jedną szansę, lecz miałem poważne wątpliwości, czy potrafię ją wykorzystać. O ile przedtem byłem aż nadto pewny siebie, o tyle obecnie oświadał mą wyrazny kompleks niższości. Czulem przez skórę, że poza mną leży ośrodek dyspozycji, a koniec wszystkiego będzie żalostny. A tu chodziło przecież o moją przyszłość. Toteż stryjostwo chciało mnie wzmocnić na duchu i jak-koś pomóc. Czestym gościem w tym domu była pani doktorowa Jaworska, wdowa po lekarzu, kobieta starsza, ale jeszcze bardzo piękna, o miłym, zupełnie młodym głosie. Chętnie śpiewała. Otóż ta pani Jaworska miała syna jedynaka, Kazia, który był już studentem na polonistyce w Lublinie. Starszy odc

mnie o trzy lata, ponoć bardzo zdolny, a nawet pisał wiersze. Uradzono więc, żeby ów młody człowiek, który chwilowo bawił u matki, udzielił mi kilku lekcji oraz cennych uwag, które miały mi pomóc do odniesienia sukcesów. Wobec tego zgłosił się do nas młodzieniec błydy, szczupły, w binoklach. Na mnie spoglądał z góry, jak na uczniaka patrzy zazwyczaj student i to w dodatku poeta. Rozmowa nasza obracała się w kręgu programu szkolnego i mego niefortunnego egzaminu. O literaturze współczesnej, a zwłaszcza o poezji, nie mówiliśmy zupełnie, wcale mu się nie przyznałem, że też piszę wiersze. Do bliższego kontaktu nie doszło, gdyż następnego dnia musiał wracać do Lublina.

Takie było moje poznanie się z Kazimierzem Andrzejem Jaworskim, poetą, tłumaczem i założycielem „Kamenny”. Nie przeczuwałem wówczas, iż drogi nasze niejednokrotnie się zjedzą, że łącząc nas będzie długoletnia przyjaźń i wspólna praca. Nie przeczuwałem zresztą wielu innych rzeczy. Nie miałem zdolności jasnowidzenia. Byłem ślepy, jeśli chodziło o przyszłość. Gdyby było inaczej, zobaczyłbym straszną zagładę tego domu. Józia zmiecionego bombą, dzieci jego osierocone, tułające się po świecie, śmierć Marychny, Jaworskiego w obozie śmierci. Nic nie przeczułem. Byłem bardzo młody. Pisałem wiersze, czytałem wiersze. Katastrofizm nie był jeszcze modny.

Tymczasem moja niewyjaśniona sytuacja nie dawała mi spać. Byłem dwa razy w szkole i zdałem z kilku drugorzędnych przedmiotów. Czekał mnie jeszcze powtórnny egzamin z polskiego i matematyki, w której byłem wybitnie słaby. W ogóle można powiedzieć, że horoskopy moje były mętne. Pocieszało mnie wprawdzie, że w razie ostatecznej klęski będę mógł wstąpić do szkoły o klasę niżej, że nie jestem jeszcze zaawansowany w latach, że po takich ciężkich przeżyciach lepiej nawet odpocząć i nie forsować nauki. Ja jednak wiedziałem, że nie mam prawa tracić roku, czulem, że egzaminy wypadną niepomyślnie, i bardzo się martwiłem. Termin ostatecznej rozgrywki nieubлагani się zbliżał, a znikąd nie było ratunku.

Ratunek przyszedł jednak. Nagle, nieoczekiwanie i to ze strony, z której najmniej się spodziewałem. W wigilię decydującego dnia przyjechała matka. Decyzja była szybka i bezapelacyjna: „Natychmiast odstępujesz od egzaminu, jedziesz jutro ze mną do Lublina i tam będziesz zdawać w państwowym gimnazjum. Z dyrektorem wszystko już omówiłam”.

I rzeczywiście. Pojechałem, zdałem i zostałem przyjęty do klasy siódmej gimnazjum państwowego im. Stanisława Staszica w Lublinie. Z języka polskiego otrzymałem notę celującą.

Zresztą nie mogło się inaczej skończyć, skoro przyłożyła do tego swoją rękę matka. Bo matka moja była osobą nadzwyczajną. Wychowana w dostatku i spokoju, wszelkie ciosy, jakich nam nie szczędziło ówczesne burzliwe życie, znosiła z nadzwyczajną pogodą ducha. Zaczynała optymistką, kochała życie i ludzi i umiała zawsze znaleźć z nimi wspólny język. Podczas choroby, po śmierci ojca, była naszym dobrym duchem, opiekunem i przyjacielelem.

Tak się zakończył epizod chelmski w moim życiu.

Stryjenka zachowała jednak w sercu cichy żal. Zawiodła się na mnie. Stehóżyłem i opuściłem plac boju w przeddzień decydującej rozgrywki. Skutkiem tego Ambroziewicz pozostał na placu jako zwycięzca. Tym bardziej, że o moich sukcesach w Lublinie ze względu na taktycznych lepiej było nie opowiadać.

Z tymże dyrektorem Ambroziewiczem spotkałem się jeszcze raz, o czym będzie mowa dalej. Był to pedagog bardzo ceniony. Doszedł w okresie międzywojennym do dużych stanowisk. Był kuratorem w Warszawie, a przed samą wojną, w czasie jakiegoś przesilenia gabinetowego, wymieniano nawet jego nazwisko jako poważnego kandydata na ministra oświaty. W roku 1958 z racji czterdziestolecia gimnazjum chelmskiego przybył na zjazd byłych wychowanków i stał się przedmiotem spontanicznych i serdecznych owacji. Bardzo mi przykro, że nie mogłem brać udziału w tym święcie, ale to już wina pana Ambroziewicza.

Z głównym moim pogromcą, profesorem Kamykowskim, nie spotkałem się już nigdy w życiu. I to tym dziwniejsze, że przeniósł się on niebawem do Lublina, brał czynny udział w pracach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, nader ceniony w tutejszym środowisku naukowym.

Był profesorem Uniwersytetu Lubelskiego. Dosłownie ocierałymi się o siebie, a nie było okazji do wzajemnego

## PERSPEKTYWY dalszego rozwoju ASTRONAUTYKI

MIECZYŚLAW  
SUBOTOWICZ

**T**WORZYMY i rozwijamy naukę nie tylko dlatego, aby lepiej zrozumieć otaczający świat, ale po to, aby lepiej nam było w nim żyć. Dziś stawia ona przed nami perspektywy oszalamiające: zabezpieczenie człowieka praktycznie nieograniczonych źródeł energii, opanowanie chorób i głodu (pod warunkiem skutecznej kontroli rozrodczości), zrozumienie budowy i działania ustrojów żywych, automatyzację przemysłu, poprzez rozwój elektrotechniki i cybernetyki — budowę coraz wspanialszych i bardziej wszechstronnych automatów, racjonalny ustrój, powszechność dostępu do dóbr kultury i cywilizacji, likwidację wojen, wyjście gatunku ludzkiego na inne planety i opanowanie Układu Słonecznego.

Lot kosmiczny nastąpi jako rezultat kompleksowego rozwoju nauki i techniki, w szczególności — rozwoju rakietowych środków komunikacji oraz elektrotechniki. Przypuszczamy obecnie, że astronautyka, otwierając nowe perspektywy, postawi przed ludzkością nowe i trudne zadania, że powstaną nowe specjalności i nowe zawody, nowe przemysły i nowe dziedziny wiedzy, które stanowiąc będą ziemskie zaplecze wielkiego frontu walki o planety Układu Słonecznego. Astronautyka — jak może żadna inna dziedzina — wymaga myślenia o sprawach ziemskich w skali planety. Tak jest, mimo że astronautyka na obecnym etapie pozostaje silnie związana z pracami nad budową i rozwojem rakiet mających przeznaczenie militarne. Realizacja badań przestrzeni kosmicznej stała się sprawą praktyczną tylko dlatego, że nastąpił znaczny postęp w budowie pocisków sterowanych, w wyposażeniu ich w aparaturę elektronową oraz opanowaniu metod utrzymania łączności ze stacją naziemną. Postęp ten był możliwy, ponieważ w badaniach nad raketami zainwestowano miliardowe sumy z myślą... o militarnych zaletach pocisków rakietowych. Pocieszająca do pewnego stopnia jest świadomość, że olbrzymiego wkładu naukowo-technicznego, dokonanego z myślą o militarnych zastosowaniach rakiet, nie daboły się unikać również wówczas, gdybyśmy pragnęli dokonać lotu kosmicznego w celach jak najbardziej pokojowych. Nie bez słuszności twierdzą specjaliści rakietowi, że pocisk sterowany w jego dzisiejszej postaci trzeba zbudować jako niezbędne ogniwo dla dokonania lotu kosmicznego także i wtedy, kiedy nie byłby on przygotowywany jako broń.

Dalszy postęp techniki rakietowej oraz możliwości broni jądrowych już uczyniły bezsensowną jakąkolwiek poważniejszą wojnę na Ziemi w sposób znacznie oczywistszy, niż to było dotąd. Posiadane środki zniszczenia oraz trwające antagonizmy międzynarodowe wskazują, jak niebezpiecznie duży istnieje dziś przedział między zdolnością ludzi do organizowania współzycia z sobą, szczególnie w skali międzynarodowej, a możliwościami, jakie dała

(Dokończenie na str. 11)

poznania. Profesor Kamykowski na pewno nie pamiętał egzaminu i niefortunnego adepta. Jeśli spotykał się z moim nazwiskiem, to nie utożsamiał go ze swoim niedoszłym uczniem. Później przeniósł się do Krakowa. I tak, nigdy nie dowiedziałem się, jak należy rozumieć i interpretować wiersz „Już się z pogodnych niebios ośma zdarła smutna”.

Zegnałem Chelme bez żalu. Perspektywa wyjazdu do większego miasta bardzo mnie pociągała. Nowi ludzie, inne otoczenie, większa swoboda. Ale gdy pozostałem wieczorem, sam w moim pokoju, uznałem, że jakoś trzeba zamknąć ten rozdział i zacząłem pisać wiersz pożegnalny. Sen jednak przyszedł wcześniej i przeszkodził. Rano zaś trzeba było jechać. Nigdy nie skończyłem tego wiersza i nigdy nie wróciłem do tego domu, gdyż stryjostwo też niebawem przeniósł się do Lublina.

# ŚWIAT W INNYCH BARWACH

(Dokończenie ze str. 3)

Gdy te dwukierunkowe węże przerywają się nagle, na skrzyżowaniach, mógłbyś chyba przebiec na drugą stronę ulicy po dachach stłoczonych aut. Boczny, jednokierunkowy ulicami dojeżdża się wreszcie do mostów na Sekwanie, gdzie znów sączy się, jakby księżycowe w poblasku, zielone światło latarni. Na lewym brzegu wpada się znowu w sznury rozpedzonych maszyn. Ograniczenia większe, niż u nas — nie wolno skręcić w prawo, aż sygnał czerwony zgaśnie.

Jakby się nie zmieniło w tym mieście — te same domy, żadnych nowych budynków w śródmieściu. Podczas wojny ucierpiał tylko peryferie od bomb, raz jeden, 3 czerwca 1940 roku. Dobrze pamiętam ten nalot. Działo się to zaraz po południu. Obserwowaliśmy skutki nalotu, idącego wzdłuż Sekwany ku fabrykom samochodów i samolotów, Boulogne, z balkonu szóstego piętra hotelu Regina, tuż obok ogrodu Tuileryjskiego i Luwru.

Ten sam styl miasta, ta sama rama kamienna asfaltowa, ale pulsuje tu inny tryb życia. Nie ma czym oddychać i na ulicy, i w restauracji, i w hotelowym pokoju. Zapach benzyny wdiera się wszędzie.

Chodząc po znanych bulwarach St. Germain i St. Michel, czekam cierpliwie na skrzyżowaniach, gdy napis świetlny głosi ATTENDEZ PIETONS, by wreszcie przeskoczyć na inny: PIETONS PASSEZ. Rusza się wtedy z gromadką czekających ludzi, krokiem pośpiesznym.

Jest jeszcze kilka kawiarni, zachowujących patynę starego Paryża, ale atmosfera jest inna. Znikły bez śladu kręcące się tu dawniej samotne, czekające na przygody dziewczęta. Widzi się czasem, po kątach, całujące się pary, ale to co innego, zawsze tak bywało we Francji i będzie. Teraz niejednokrotnie widzi się dwa kolory w tych scenkach: przystojny, dobrze ubrany Murzyn, w olśniewająco białej koszuli pod ciemną marynarką, i blondyneczka Francuzka...

W jednej z kawiarni, na rogu rue de Seine i bulwaru, kelnerkami są wyłącznie Mulatki, zachowujące dystans i bardzo poważne. W tej samej kawiarni, w podziemiach, dwojga drzwi nie oznaczono trójkątem i kółkiem, ale napisami ADAM i EVE. Lokal, zresztą bardzo przyzwoity i w dobrym punkcie.

Naprzeciw, w księgarni polskiej — pod raz — dwa — trzy — 123 Bulwaru St. Germain, urzęduje poważny, jak zwykle, znany w Polsce i na emigracji dr Stanisław Lam, ostatni chyba księgarz w stylu dawnych Gebethnerów, Wolffów, Połoniczek, Trzasków i Ewertów.

Tutaj, w te okolice, przeniosło się środowisko artystyczno-literackie z bulwaru Montparnasse, który stał się zwykłą, nie różniącą się od innych, ulicą. „Malaria” i cyganeria koncentruje się w kawiarni „Pod dwoma małpami” (Aux Deux Magots), Flora i kilkunastu mniejszych.

Nie widzi się na lekarstwo żadnego „rapin’a” ubożego malarzyny w pelerynie, wielkim kapeluszu, z fontaziem czarnym pod brodą, w czarnym welwetowym garniturku w prążki, z długimi po ramiona włosami, najczęściej z bródką i fajką glinianą w zębach. Raz tylko spotkałem takiego troglodytę w ustronnej kawiarence. Wdałem się z nim w rozmowę. Był filozofem. Pisał dopiero dzieło o lokalizacji jaźni ludzkiej w epoce. Uznawał tylko Sokratesa. Szepnął mi później gospodarz, że ów filozof był synem Hiszpana i siostry znakomitego malarza francuskiego Cezanne’a.

Szukałem na próżno śladów tego Paryża, który pamiętam z młodości, z okresu studiów sorbońskich.

Było coś z tej atmosfery w gmachu Biblioteki Polskiej, na wyspie, 6 Quai d’Orleans. A jeszcze więcej w skromnym zakładzie św. Kazimierza, gdzie zaprowadzono mnie do doskonale zachowanego pokoju Cypriana Norwida. Nie bez wzruszenia wpisywałem się w pamiątkowej księdze, leżącej na tym samym stole, na którym pisywał autor „Fortepianu Chopina”. A ze ściany, znad łóża, patrzył Norwid z portretu Szyndlera.

Z różnych rozmów, które miałem w tym znany kiedyś na wylot mieście, odniosłem wrażenie, że dawny, humanistyczny Paryż jak gdyby wędnie, kurczy się, niknie — a rozwieliżnia się za to Paryż techniczny, Paryż atomu i rozpedzonego do maksimum życia. W każdym razie jest inny niż był i to rzuca się w oczy, mimo pozorów niezmiennego, ciągłego trwania. Po prostu inni ludzie wypełnili miasto, a stara, prawie nietknięta, rama rzuca jeszcze swój cień i urzeka mgłami złudzenia.

Byłem zaproszony na wykłady o Koperniku przez Academie du Var w Tulonie (miałem coś podobnego w Poznaniu pod nazwą Towarzystwa Przyjaciół Nauk). Kilka tylko zakątków poznaję w tym dobrze znanym mi mieście nadmorskim. Tulon bardzo ucierpiał od bombardowań, nowe dzielnice, poprzebijane przez dawne śródmieście arterie, miejscami 20-piętrowe domy, morze nawet jakby cofnęło się od miasta, budowle, które tłoczyły się nad wodą, znikły bez śladu, szeroka promienada idzie pobjeżem.

Odwiedzam starych moich, sądziwych już przyjaciół w luksusowym domu rencistów w Le Luc, na szerokiej autostradzie nicejskiej. Palmy, krzewy laurowe, róże, goździki na grządkach, już się złości mimoza — choć to wigilia... I tu znalazła się jakaś Polka, wywieziona ongiś na roboty do Niemiec.

— Nazywam się panna Maria Birecka, — mówi z francuska. — Urodzona we Lwowie. Może by pan w Polsce natrafił na ślad mojej siostry — i wręcza mi kartkę: „Feluśka Wańkowicz — Franciszka Birecka — jestem bardzo chora”. Chwilę milczy, coś waży w myślach.

— A może mogłabym wrócić do Polski?

I co tu radzić chorej, niedoleżącej istocie? Obiecuję jej, że postaram się ogłosić jej pytanie w Polskim Radio, przez Czerwony Krzyż.

Dworzec w Marsylii wygląda jak w r. 1939, pełno wojska, patroli — stacja przetokowa żołnierzy wysyłanych do Algieru, czy wracających stamtąd. Tuż obok arabska dzielnica. Przechodzi tu miejscami afrykańskie ubóstwo. Ponure, strokane twarze — jakby tu się skoncentrował koszarowy wieszak nad Francją. Wszędzie — w pociągu, na ulicy, w kawiarniach mówią o sprawie arabskiej, ubolewają, że ciągnie się ona od tyłu lat. Widać de Gaulle nie mógł jej dotąd rozwiązać... „Nawet de Gaulle...”

Czas już w drogę powrotną. Zatrzymuję się parę dni u Pawelki Cazin. Był on niedawno u mnie w Warszawie — nie dokończyliśmy długiej rozmowy, dalszy ciąg wyznaczaliśmy sobie w Aix-en-Provence, niedaleko Marsylii.

Niebo błękitne, słońce, domek Cadet Roussel przy Alpejskiej drodze, zbocza górskie, skały, karłowate sosny po rozpadlinach, cyprys za dworkiem, Paul Cazin ma sporą bibliotekę polską w swojej pracowni, kilka tysięcy tomów. Przeglądam znowu, u niego, genialny jego przekład Pamiętników Paska, pisany cudowną, siedemnastowieczną francuszczyzną.

Na Gare du Nord, w Paryżu, pociąg, którym mam wracać do Kraju, zabiera niewiele podróżnych. Omija Belgię, ogarniętą strajkiem, idzie łukiem, przez Kolonię, mają gdzieś doczepić wagon Hok van Holland — Warszawa.

Rozmawiam w pustym przedziale z przygodnie spotkanym młodym doktorem chemii, Niemcem. Ma 26 lat, a więc z wojną nie miał do czynienia. Niemiec jest rozmowny, ubolewa, że po śmierci Thomasa Manna nie ma wielkiego pisarza w Niemczech... Mówi o tym, o owym. Rozmowa toczy się pół po niemiecku, pół po angielsku. I nagle — pytanie tego młodego, usposobionego bardzo nawet liberalnie, człowieka:

— Czy Niemcy byli correct podczas okupacji w Polsce?

On chciał się naprawdę dowiedzieć, czy byli correct! Jasne było od razu, że wychowano go w nieświadomości prawdziwego obrazu wojny.

Radziłem mu tylko, by sobie przeczytał książkę lorda Russella of Liverpool THE SCOURGE OF THE SWASTIKA. Z powodu swej prawdomówności lord Russell zrezygnować musiał z wysokiego stanowiska w brytyjskim sądownictwie.

— Niech pan spojrzy na to wzgórze, trochę je widać — Herr Doktor zainteresował się pejzażem. — To Godesberg, tu Chamberlain spotkał się z Hitlerem. Ach, ten Chamberlain!... Gdyby okazał więcej stanowczości, nie byłoby drugiej wojny i tylu nieszczęść na świecie...

Znów deformacja pojęcia rzeczywistości. Chamberlain jest winien, nie Hitler...

Zamigotały światła. Pociąg nawet nie zwolnił biegu. Małe miasteczko. Kilkanaście neonowych świateł na rynku, kamieniczki niewielkie. Napis, wielkimi literami, na skromnie wyglądającym dworcu: BONN. Dziwna stolica, przez którą przebiegają zdyszane, pośpiszne pociągi. Dziwny uniwersytet w tym własnie skromnie wyglądającym mieście, który memu towarzyszywi podróży dał wypaczone, naiwne pojęcie historii własnego kraju. Dziwne środowisko studenckie, obojętne na największe zbrodnie historii i nie starające się nawet spojrzeć trzeźwiejszymi oczyma na skrwawione ręce swych ojców.

Jest coś paradoksalnego w tym wszystkim. Znów inna barwa dzisiejszego świata, na pograniczu Francji, kraju łacińskiej logiki i trzeźwego chłopskiego rozumu.



Paul Cazin

Tutaj, nad Renem, znów jakaś Loreley coś bredzi o Nibelungach, doskwiera jeszcze echo przegranej wojny, ale jest i na to odpowiedź — Chamberlain winien...

Edward Ligocki

## MIASTO MICKIEWICZA I WYSPIAŃSKIEGO

WOJCIECH NATANSON

Jedną z najpiękniejszych dzielnic paryskiego śródmieścia przecina długa i bardzo wąska, stara ulica Richelieu. Od Wielkich Bulwarów zmierza ona wprost do placu, przy którym stoi budynek Comédie Française; mniej więcej w środku ulicy Richelieu znajduje się gmach Bibliotheque Nationale, w której od wieków pracowali i pracują badacze wszelkich krajów (wśród nich — bardzo wielu polskich). Lecz niemal u wylotu, kilkadziesiąt metrów przed placem Komedii Francuskiej, niepozorne i niemal niewidoczne przejście przez bramę przenosi nas na rozległy dziedziniec Palais Royal. Do dziś istnieje na tym dziedzińcu stara kawiarnia, do której uczęszczali Voltaire i Encyklopedyści, gdzie Diderot pisywał swe książki, nieco dalej wznosi się hotel, w którym ostatnie swe lata przeżyła niedawno zmarła powieściopisarka, pani Colette. „Nie przeszkadza mi nawet kamienny koń na pomniku, naprzeciw mych okien” — mawiała podobno. Cały ten wielki kompleks budynków, zwanych Palais Royal, został wzniesiony przez kardynała Richelieu, zapisany przezeń w testamentie królowi, a przez tego ostatniego — подарowany „biedniejszemu kuzynom” Orleanom. Ponieważ ci ostatni nie mieli pieniędzy, wynajmowali pałac na hotele, kawiarnie (i podobno i na luksusowe domy publiczne). Tutaj więc stawali liczni turyści w XVIII wieku, z bogato wypchaną kieszą. W pośrodku, na ogromnym skwerze wznosi się do dziś drzewo rozłożyste i zielone (nawet w grudniu), na którego pnium przyklejano przed rewolucją 1789 roku buntownicze odezwy i i pamflety na rodzinę królewską. Drzewo to nosiło nazwę, która zdumiewa każdego Polaka: drzewo krakowskie, Arbre de Cracovie.

Historycy na próżno się silą o ustalenie genezy tej nazwy. Być może, że pojęcie Krakowa w umysłach buntowników z końca XVIII wieku kojarzyło się ze sprawą wolnościowego ustroju polskiego, zbrodnią pierwszego rozbioru i wspomnieniem konfederacji barskiej. Lecz owo wspomnienie krakowskie nie jest jedynym, które czeka Polaka próbującego przeniknąć tajemnice Paryża. Na Place de la Comédie Française jedna z najstarszych tutejszych kawiarni, Café de Régence, przechowuje stół, przy którym siadywał Adam Mickiewicz.

Jeśli przez jeden z mostów na Sekwanie (a jest ich w Paryżu ponad 30) przejdziemy na lewy brzeg (stawa „Rive Gauche”), odnajdziemy przy rue de Seine dom, w którym Mickiewicz pisał „Pana Tadeusza”, a nieco dalej hotel, z którego za działalność rewolucyjną wysiedlono Lelewela. Tuż koło rue de Seine znajduje się malownicza rue de l’Echaudé, gdzie w 1891 roku razem ze swym przyjacielem Józefem Mehofferem zamieszkał — Wypiański. „Mieszkały tutaj bardzo przyjemnie” — pisał przyszły autor „Wesela” w liście do rodziny, „bo choć w środku samego miasta, to jednak na malej uliczce, która nosi na sobie wszelkie cechy życia malomiejskiego”. Istotnie, do dziś rue de l’Echaudé może przypominać swym nastrojem zapadłą miasteczkę — ale przybraną we wszelkie uroki malowniczości i historii. W kawiarence „du Vieux

(Dokończenie na str. 6)



Na I piętrze, ostatnie na prawo, okno pokoju Norwida

# Klemens Junosza redivivus

STANISŁAW FITA

**N**AZWISKO Klemensa Junoszy-Szaniawskiego znane było niegdyś dobrze czytelnikom „Gazety Lubelskiej” i „Kalendarza Lubelskiego”. Często ukazywały się tu utwory pisarza, który z Lublina pochodził, na Lubelszczyźnie swoje dzieciństwo i młodość spędził, a później — przebywając w swoim majątku w Woli Koryntnickiej na Podlasiu i w Warszawie — nie zerwał kontaktu z rodzinnym miastem, przypominając się swoim współziomkom ze szpał miejscowej prasy i wydawnictw periodycznych. Był to pisarz bardzo popularny wśród współczesnych, przez potomnych stopniowo zapomniany, toteż z uznaniem powitaliśmy inicjatywę „Czytelnika”, dzięki której ukazał się w r. ub. na rynku księgarskim wybór opowiadań Junoszy w opracowaniu i ze wstępem Józefa Rurawskiego\*).

Słusznie pisze Rurawski o zapomnieniu pisarza, słusznie też przywraca mu należne w historii literatury miejsce. Od razu jednak sprostować wypada zbyt daleko idące pretensje do świata i ludzi za krzywdę wyrządzoną autorowi „Obywatela z Tamki”. Bo są na świecie dwa miasta, które o Junoszy całkowicie nie zapomnieli: Lublin i Lubartów.

Sześćdziesiątą rocznicę śmierci pisarza (1958) przypomniał „Kalendarz Lubelski na rok 1959”. Wcześniej nieco w seminarium poświęconym pisarzom Lublina

\* Klemens Junosza (Szaniawski): Obywatel z Tamki i inne opowiadania. Wybrał i wstępem poprzedził Józef Rurawski. Warszawa 1960, Czytelnik, s. 310.

**N**A lubelskim cmentarzu, przy którejś z cichych alejek stoi niezbyt okazały pomnik nagrobny. Napis na nim głosi: „Klemens Junosza Szaniawski — powieściopisarz”. Tu spoczywa człowiek, którego współcześni określali mianem jednego z największych pisarzy epoki, którego porównywali z Prusem, Sienkiewiczem, Orzeszkową. Zmarł w roku 1898, żył lat czterdzieści dziewięć, z których niemal połowę poświęcił pracy literackiej. W roku 1891 ukazało się dziesięciotomowe wydanie jego pism. Po śmierci Junoszy światło dzienne ujrzał (1899) tani zbiór jego utworów; w okresie międzywojennym parę nowel doczekało się wznowienia. Ale odtąd — aż do zeszytowanego wydania wyboru opowiadań pt. „Obywatel z Tamki” — wokół twórczości Klemensa Junoszy panowała cisza. Również i historycy literatury od dawna pomijają go milczeniem. Poza pracami pisanymi przez współczesnych (zwłaszcza Teodor Jeske-Choiński i Piotr Chmielowski) znaleźć można w czasopiśmie nieco recenzji i artykułów, ale ostatnie z nich datują się z roku 1938, kiedy to przypadała czterdziesta rocznica śmierci pisarza. Już wtedy jednak ubolewano nad faktem całkowitego zapomnienia Klemensa Junoszy. Pisał Adam Grzymała Siedlecki: „...na półkach księgarskich on omnis mortuus, gdy powinien stać w czytelnictwie żyć”.

To życzenie wszakże nie zostało spełnione. Twórczość Szaniawskiego jest dziś niemal zupełnie nieznaną. Sława i poczytność, arcyzm wielkiej trójcy naszych powieściopisarzy okresu realizmu zasłoniły przed oczami czytelników wielu innych ówczesnych autorów, rzadziej wydawanych, czy też takich, których niecały dorobek ostał się próbie czasu. Tak było zapewne i z Klemensem Junoszą.

Ciekawo jego życiorysu niechże zajrzą do wstępu, jakim świeżo wydany tomik opatrzył Józef Rurawski (może zbyt dużą wagę autor wstępu przykłada do biografii pisarza, w niej szukając klucza do oceny niektórych utworów).

Zyciorys ten zresztą — jeśli chodzi o przykład o niektóre daty u różnych krytyków wygląda różnie, tu

i Lubelszczyzny kierowanym przez prof. F. Araszkiewiczą wykonano pracę o nowelistyce Klemensa Junoszy (streszczenie rozprawy, której autorką jest Ł. Kosaczówna, ukazało się w „Sprawozdaniach Tow. Nauk. KUL”, nr 9, Lublin 1959).

Uroczysto uczcił 110 rocznicę urodzin Junoszy przypadającą w roku 1959 Lubartów, gdzie pisarz w latach młodych przebywał, czego odgłosy znajdziemy w jego późniejszej twórczości (zwłaszcza w utworach „Pan Sędzia” i „Dworek przy cmentarzu”). Wmurowano tablicę pamiątkową na domu, w którym mieszkał, w jedynolite Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Lubartowskiej ukazał się artykuł J. Lułka o związkach Junoszy z Lubartowem, przedrukowano tam również fragment powieści „Pan Sędzia”.

Ale poza tym nikt istotnie o poczytnym niegdyś autorze nie pamiętał. Czytelnikowski wybór opowiadań udostępnił skromną część dorobku nowelistycznego Klemensa Junoszy. Utwory tu zebrane ułożono w trzech działach: Opowiadania „warszawskie”, opowiadania o tematyce prowincjonalnej (akcja ich dzieje się głównie na Podlasiu) i monologi. Te ostatnie słusznie przypomniane, jako swego rodzaju utwory prekursorskie w ówczesnej literaturze i dla pisarstwa Junoszy specjalnie charakterystyczne. Skoro zaś pierwsze dwa działy wyodrębniono na zasadzie „topograficznej przynależności” miejsca akcji, warto na łamach lubelskiego pisma przypomnieć, że istnieje kilka opowiadań „lubelskich” („Cud na kirkucie”, „Szpada Hamleta”, „Ojciec Prokop”, „Lublin. Wspomnienie”) zasługujących również na uwagę. To propozycja pod adresem ewentualnego drugiego wydania.

Niezależnie jednak od tych uwag dyktowanych regionalnym patriotyzmem przyznać trzeba, że udostępniony nam wybór dobrze prezentuje najbardziej charakterystyczne cechy dorobku nowelistycznego Junoszy — malarza codzienności, doskonałego twórcy typów wszelkiego rodzaju oryginałów, jednego z najlepszych ówczesnych znawców świata żydowskiego. Należy również podkreślić bardzo udaną oprawę graficzną tomu — reprodukcje rysunków Franciszka Kostrowskiego, świetnie dobrane, wprowadzają czytelnika w atmosferę czasów Junoszy i świata przezeń przedstawionego.

## NAJWIĘKSZĄ ZAWADĄ BYŁ MU CZŁOWIEK ZŁY

EWA SZONERT

mamy jeszcze jeden dowód na to, jak bardzo zapomniany jest Junosza.

Suponując, że autor wstępu przeprowadził możliwie ściśle badania biografii i bibliografii pisarza, chcielibyśmy tu jednak dodać parę szczegółów. Otóż wspomnieć należy, że Klemens Junosza jest nie tylko twórcą licznych powieści, nowel i felietonów, lecz również — czego autor wstępu nie podaje — sztuk: „Chłopski mecenas” (1880), „Baby” (napisanej wspólnie z Zygmuntem Przybylskim) i „Wyścig dystansowy” (z Kazimierzem Laskowskim). Jest także tłumaczem „Zapisków myśliwego” Turgieniewa. Obok przełożonej z żargonu żydowskiego książki S. Abramowicza „Don Kiszot żydowski” (1885) przyswoił też językowi polskiemu „Szkapę” tegoż autora (1886). Pisywał również żartobliwie wierszyki, m. in. uroczyste sztambuchowe utworki dla pensjonarek. Nie możemy się oprzeć pokusie zacytowania tu jednego z nich:

Cztery razy dziewięć jest trzydzieści sześć,  
Gdy gruszka dojrzała, to ją trzeba zjeść.  
Osiem razy osiem jest... już zapomniałam  
Pamiętać, najdroższa, jak ja cię kochałam.

**A**LE wracajmy do twórczości nowelistycznej Junoszy, bo o niej przede wszystkim chcemy tu pisać. Antoni Potocki w swojej „Polskiej literaturze współczesnej” (1911) postawił Szaniawskiego „w pierwszym szeregu polskich nowelistów”, jego opowiadanie „Laciara” nazwał „klasyczną godną każdej literatury kreacją”, a powieść „Pająki” określił jako wzór „powieściowej architekturaliki”.

de wszystkim w latach międzywojennych, właśnie na Montparnasse najściszej było życie artystyczne. W 1893 roku Gauguin, po drugim powrocie z Tahiti, odziedziczył 12.000 franków po dalekim wuju, kupił sobie pracownię przy rue Vercingétorix i (wedle tradycji, przekazanej przez malarza Rzeczkiemu) miał ją na pewien czas odstąpić Wyspiańskiemu.

Co do mieszkania przy Boulevard Montparnasse 106, na VI piętrze, Wyspiański pisał o nim z zapamiętaniem: „Wszystko, co jest wysokiego w Paryżu od Eifla począwszy widać z mego okienka, co mnie niezmiernie cieszyło, bo i Notre Dame i wieżę Saint Sulpice i Pantéon i Sorbonę i kopułę złotą Inwaldów. Jakże się raduję, że je codziennie z góry widzieć będę!”

Pobyt Wyspiańskiego w Paryżu wywarł olbrzymi wpływ na cały jego światopogląd, artysta zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Na 4 lata przed śmiercią radził młodemu malarzowi, Konstantemu Brandlowi: „Przed wszystkim trzeba jechać do Francji. Tam się Pan naszym wszystkim! Potym można się udać do Włoch, ale nie odwrotnie: Paryż jest w sztuce podstawa”. Nie wiedząc o tych radach, dwadzieścia lat później, młodzi plastycy polscy zgromadzeni w stowarzyszeniu „Komitetu Paryskiego” (K. P.) czyli kapiści zdobywając forsaż wyruszają do Paryża, z zachwytem odkrywają Cézanne’a, Bonnard’a, uczą się „wprowadzać” obraz z światła i koloru. I oni także, huczna grupa 11 osób,

Czytając dziś „Laciara” przyznać trzeba, że zdanie Potockiego nie — po pięćdziesięciu latach — nie straciło na aktualności. „Laciara” zresztą wielu krytyków Szaniawskiego stawiało bardzo wysoko (czemuż więc autor wstępu mówi o pominięciu tej nowelki?). Tematem opowiadania są tu dzieje biednego Żyda, który chodzi po domach, aby przerabiać stare kapoty i ubrania. Pracuje nocami, nie jedząc i nie śpiąc, aby zarobić na utrzymanie swoje i licznej rodziny. Postać zarysowana jest niezmiernie wyraziście, otoczona atmosferą rzetelnego humoru.

Postać zresztą bardzo reprezentatywna dla twórczości Klemensa Junoszy. Żydzi w jego nowelach zajmują wiele miejsca. Dzieli ich pisarz na biednych — takich właśnie jak Judka — i na bogatych, którzy zajmują się lichwą (jak w powieści „Pająki”) czy udzielaniem kredytu upadającym właścicielom posiadłości wiejskich („Gospodarski ranek”).

Żydów biednych Szaniawski wyraźnie faworyzuje, współczując ich niedoli, ukazując ich w świetle rozróżnienia i smętku, podobnie jak wszystkich ludzi, których bieda cisnie, a los nie oszczędza. Autor szanuje swoich bohaterów przede wszystkim za to, że nie załamują się pod ciężarem pracy nadmiernej, że wszelkimi siłami starają się utrzymać na powierzchni życia.

Wszelkich darmozjadów i pasożytów, żerujących na cudzym nieszczęściu, Junosza nienawidziłby, gdyby... w ogóle skłonny był do uczucia nienawiści. Jest mu ono całkowicie obce, może dlatego, że do wszystkiego stara się podchodzić z możliwie dużą dozą pogody. Słusznie pisze cytowany już Adam Grzymała Siedlecki: „W kompozycji dzieł największą zawadą był mu człowiek zły. Gdzie nie mógł się wzruszyć, gdzie trzeba było być raczej okrutnym w osądzie, tam na tory komiki kierował swoją negacją. Z radością wyłuskiwał z życia i serc ludzkich wszystko dobro, wszystkie okoliczności łagodzące. Optymistą był nie z łatwości umysłu, lecz z potrzeby serca”.

Klemens Junosza był niesłychanie bystrym obserwatorem. Przyglądał się życiu, podpatrywał je na warszawskim bruku, na wiejskim folwarku, w dworku drobnoszlacheckim, w karczmie Żyda-arendarza. Wynikiem tych obserwacji były interesujące, żywo opowiedziane gawędy, obrazki malowane z mistrzowską niekiedy precyzją, z realistycznym ujmowaniem szczegółów rzeczywistości.

Wrażliwy na krzywdę i biedę ludzką, autor pochyła się z uwagą i współczuciem nad losem wszelkiego autoramentu nieszczęśliwych, czy to będzie robotnik, który pracą całego życia starał się zabezpieczyć sobie spokojną starość, a zamiast tego znalazł tragiczną śmierć spowodowaną wypadkiem przy pracy („Spełnione marzenie”), czy to będzie uboga wdowa, zarabiająca na chleb grą na pianinie w podrzędnej knajpce („Wesołego”), czy wreszcie biedny, nieoświecony chłopak, którego wszyscy wykorzystują („Z pamiętników roznościela”).

Bohaterami nowel Junoszy są także kapitalne typy mieszczan warszawskich — ludzi pełnych serca i niefrasobliwego humoru.

Wszystkie postaci charakteryzowane są przez autora tak, by czytelnik nie miał wątpliwości, co o nich należy sądzić i jak je oceniać. Działają tak, jak im każe autor, stale przy nich obecny (wyjątek stanowią tu monologi, ale to już sprawa ich odrębności gatunkowej od noweli). Lecz nie są to postaci martwe. Wprost przeciwnie — pełnią życia iskrzy się obdarzona niezwykle temperamentem ciotka Klotylda („Fałszywa kuropatwa”), czy znakomicie sportretowana — prawie wyłącznie poprzez dialog — szczebiocąca „Pani z pieskiem”. Żywość postaci Junoszy wspomaganą jest znakomitą niekiedy indywidualizacją ich języka i jasną konstrukcją narracyjną nowel.

Analizując utwory Szaniawskiego trzeba powiedzieć słów parę o jego humorze. Humor to bardzo dojrzały, nigdy autor nie pozwala sobie na drwiny, czasem tylko — gdy o biedzie ludzkiej mowa — stosuje bolesną ironię wobec takich czy innych przyczyn tej biedy.

Rodzaj humoru Junoszy świetnie określił Teodor Jeske-Choiński: „Dobry i serdeczny uśmiech, tak dobry i serdeczny, iż łagodzi nawet zbrodnię. Ten humor nie jest grubym śmiechem farsysty lub subtelnym gryzącym uśmiechem satyryka, lecz jakby cichym smutkiem przebaczącym ludziom ich winy. Drży w nim ciepła iza, dziecięcy dobroci. Jedyny Prus umie się u nas tak samo uśmiechać”.

(Dokończenie na str. 7)

## Miasto Mickiewicza i Wyspiańskiego

(Dokończenie ze str. 5)

Paris’ można wypić wino za 35 nowych centimów (około 1 zł 80 gr) i pogwarzyć z robotnikami. Istnieje też stary i zabawny Hôtel de Deux Portes. A tuż obok huczy rzeka aut na Boulevard Saint Germain, przypominając, że w dzisiejszym Paryżu jeden powóz mechaniczny przypada... na 3 mieszkańcówn.

Nie wiadomo, w którym miejscu uliczki l'Echaudé mieszkał Wyspiański. Wiadomo natomiast, że chodził do pobliskiego kościoła Saint Germain des Prés oglądać grób Jana Kazimierza i że pod tym wpływem pisał później swój dramat o słubach królewskich — złamanych, dramat osnuty z punktu widzenia formy teatralnej na pomysły gry światła zalamanym w witrażu. Ustalono też, że następnym mieszkaniem wielkiego artysty był dom przy Boulevard Montparnasse 106, koło dzisiejszej kawiarni „Coupole”. Jest to punkt Paryża dzisiaj dosyć już opuszczony przez artystów; w „Dôme”, „Coupole” i „Rotonde” zbiera się raczej — młodzież pełna zresztą uroku. Ale za czasów Wyspiańskiego, a prze-

z Cybisem, Waliszewskim, Potworowskim i Czapskim, osiadają na Montparnasse, gdzie w tym czasie królują Cocteau i surrealiści.

Paryskie tradycje Polaków sięgają głęboko w czas Renesansu, gdy Kochanowski zwiedzał stolicę Francji i pisał o spotkaniu z Ronsardem. Dziś tradycją ta nie tylko nie wygasa, ale się nawet wzmacnia.

Niedawno zorganizowano w Paryżu liczne polskie wystawy malarskie, np. Muelaner — Nieckowskiego w Galérie du Foyer des Artistes przy Montparnasse 89 (zdolny ten artysta zdobył nagrodę na konkursie ogłoszonym przez rząd Indii, a w Paryżu współpracował z grupą „du Luca”), Tadeusza Brzozowskiego, w Galérie Lambert na Wyspie, oraz Arki Madejskiej przy rue de Seine. Waldemar George pisał o tej malarsce, że jej obrazy „dają nową figurację świata i nowe wyobrażenie, choć na szczęście — nie podnoszą nowych problemów”.

Zdaje się, że interesują się też polską dramaturgią paryskiej teatry. „Tertre” na Montmartre po Brandstaetterze i Brożkiewiczach przygotowuje sztukę „Sławomira Mroźka. Zainteresowanie ogromne budzi „Obrona Ksantypy” Moratina, która szturmem zdobyła Szwajcarię, o wystawieniu polskiego utworu klasycznego myśli Barrault, a Danielle Delorme grać będzie w „Pannie Maliczewskiej”. Prawdopodobnie w tym samym teatrze „Oeuvre”, gdzie Zapolska przed 65 laty występowała po swym rozstaniu z teatrem Antoine’a.

Wojciech Natanson

# PRZEGLĄD LITERACKI

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

M NIEJ więcej od trzydziestu lat zaobserwować można zamienny, według wieku, „podział ról” wśród twórców powieści europejskiej i pozaeuropejskiej: jeżeli młodzi pisarze każdego niemal pokolenia oglądają w swoich utworach, niby w kieszonkowych lusterkach, własne biografie i wizerunki psychiczne — artyści starsi, dojrzałi, zaliczani niejednokrotnie już za życia do klasyków swojej epoki, traktują powieść z reguły po Stendhalowsku jak zwierciadło przechadzające się po gościńcach, a raczej — po zawiłych męszczyńskich nowoczesnej kultury i cywilizacji. Utwory tego rodzaju, udostępnione chwałobnie coraz częściej przez wydawnictwa i tłumaczy polskiemu czytelnikowi, portretują zazwyczaj nie tylko prądy społeczne, filozoficzne i artystyczne przenikające nasze trudne stulecie ale i oceniają je, osądzając jednocześnie żyjącego w „erze atomu” i „epoce pieców” człowieka, jego moralność, świadomość i wyobraźnię. Osąd to zwykle twardej, bezkompromisowej sprawiedliwości, chyba właśnie dlatego daleki od pełni barw i wątków, od przysłowiowego spokoju eposu, choć z tego rodzaju literackiego wywodzący realizm wizji, precyzję warsztatu.

Takim sądem nad epoką i rozprawą z własnym narodem jest w tronie filozoficznym koncepcji, w najdrobniejszych szczegółach realizacji, „Doktor Faustus” Tomasza Manna. Podobnie jak (świadomie zresztą tu naśladowany) J. W. Goethe — i Mann uczynił z odpowiednio zadaptowanej legendy o średniowiecznym uczonym, który zaprzedał duszę diabłu, — ośrodek fabularny już nie dramatu i nawet nie tylko powieści, ale z trudem, jakby niechętnie beletryzowanego eseju, pamiętnika, gdzie fikcyjne wątki i zmyśleni bohaterowie służyły tylko jako kostiumy, niekiedy nawet maski dla własnych myśli i uczuć pisarza. To, co Mann powiedział w pasjonującym szkicu „Jak powstał „Doktor Faustus”, a także — co ukrył w jego podtekstach i niedopowiedzeniach, wskazuje dość wyraźnie na obecną w całym życiu i twórczości Manna odradę do autobiograficznego, uczuciowego przede wszystkim, ekshibicjonizmu jako na istotną, bodaj główną przyczynę opracowania w dziele kompozytora Adriana Leverkuehna, przedziwnego zwierciadła, w którym pisarz zmusza do rozważenia się, rozpoznawania i osądzania siebie — własny naród, swoją epokę, jej pozorny humanizm, jego zawołowane bestialstwo. Charakterystyczne dla „Doktora Fausta”, dla całej zresztą twórczości Manna, wydłużanie filozoficznej perspektywy fabuły, bogacenie najróżnorodniejszymi realiami poznawczej, intelektualnej anegdoty utworu, a jednocześnie rozszczepianie tejże anegdoty subtelną a precyzyjną symboliką etyczną i estetyczną — wszystko to gmatwa wprawdzie czytelność dzieła, utrudnia jego percepcję, ofiaruje jednak zarazem refleksje i wzruszenia artystyczne jedyne w swoim rodzaju i natężeniu.

BARDZIEJ tradycyjnym, co nie znaczy — mniej przejrzystym zwierciadłem nie tylko swojej epoki wydaje się „Wielki Tydzień” Aragona. Za pretekst do rozrachunku służy tutaj nie legenda, ale fakt, a raczej moment historyczny: tydzień, jaki przeżyła Francja po ucieczce Napoleona z Elby.

Zastrzeżenie, którym pisarz poprzedził początek fabuły: nie jest to powieść historyczna — nabiera dla nas coraz silniejszej wymowy w trakcie oglądania tak barwnego, obyczajowego fresku, gdzie plastyka wyobraźni artysty idzie w zawody z pilnością i rzetelnością kronikarza. Tradycje wielkiej, francuskiej powieści, konsekwencje z Balzakiem, Zolą i Maupassantem, podtrzymał i wzbogacił Aragon w „Wielkim Tygodniu” dla tym przenikliwszej obserwacji zachowania się jednostek i grup społecznych w krytycznych momentach dziejowych, jakich nie oszczędził wielu narodom i ludziom szczególnie nasza epoka. Autor z wyjątkową pilnością bada, rewiduje i ocenia moralne postawy człowieka, wypełnia je miąższem motywacji obyczajowej i psychologicznej, osadza w tkance związków i

S POŚRÓD wszystkich gatunków literackich i paraliterackich, rewolucja październikowa w dramacie znalazła stosunkowo najmniej wyraziste odbicie. Nie ma dramaturga, którego nazwisko można by wymienić równorzędnie z takimi, zrodzonymi z rewolucji olbrzymami, jak Majakowski, Szolochow, Eisenstein, ani też z wielkimi dramaturgami przedrewolucyjnymi, jak Cechow i Gorki. Rewolucyjny dramaturg radziecki, w zasadzie rzecz biorąc, nie wyszedł poza strefę poszukiwań, trudno mówić o pełnych osiągnięciach adekwatnych do wielkości sytuacji historycznej. Sam Wiszniewski, jeden z najwybitniejszych, może najwybitniejszy radziecki dramaturg-poszukiwacz, zdawał sobie z tego dojmująco sprawę. Pisał: „Dramaturgia ciągle nie nadąża. Czemu? Bez przerwy myślę o tym, co stałe hamuje rozwój teatru. Istnieją różne kanony, zasady, które stoją na przeszkodzie wprowadzeniu do teatru nowych zjawisk, nowych jakości. Odpowiedź, że sprawa to niedostatek techniki, nieumiejętność operowania techniką teatralną wydaje mi się niepełna... Masy, wprowadzone do teatru,



W. Wiszniewski: „Tragedia optymistyczna” — scena końcowa.

rozsadzają teatr, przytłaczają widownię. W wyobraźni widzę coś większego, bardziej monumentalnego niż nasz teatr. Chodzi mi po głowie film, fotografia, muzyka maszyn, szum życia... Nie potrafię jednak sobie z tym poradzić, nie umiem znaleźć nowych środków wyrazu. Ciągłe coś przeszkadza” \*).

Do tego marzącego mu się teatru monumentalnego, teatru ogromnego, Wiszniewski zbliżył się najbardziej w swoim arcydziele, w „Tragedii optymistycznej”. Technika dramaturga, dążącego do nowych rozwiązań, pozostała wyraźnie pod wpływem techniki filmowej. Ale równocześnie, gdy szukamy dla Wiszniewskiego jakiejś paranteli w przeszłości, nasuwa nam się skojarzenie dosyć zaskakujące: z „Zakerią” Merimée’go. W ogóle z tak zwa-

zależności społecznych, ceniując to wszystko metaforą, niekiedy już na pół poetyckiej proveniencji. Trudno się zdecydować, czy zademonstrowana w „Wielkim Tygodniu” metoda artystyczna zasługuje już na dystynkcje realizmu socjalistycznego — trudniej jednak zaprzeczyć zwierciadło przy tego artysty wielkiej siły w odbijaniu i utrwalaniu widzialnego, społecznego świata.

PRETEKSTEM do takiego poglądu i osądu stał się dla Arnolda Zweiga bliższy jemu i nam w przestrzeni i czasie moment historyczny. „Wielka wojna białych ludzi” z lat 1914—18 ukrywa w epicko zarysowanym tle i dramatycznie, tragicznie przeprowadzonych wątkach akcji, aż nadto wiele celnych nie tylko artystycznie refleksji nad mechanizmem wojny w ogóle, a wojny imperialistycznej w szczególności. Wydana niedawno po polsku ostatnia część sześcioczęściowego cyklu „Czas dojrzał” spełnia wobec niego funkcję właśnie takiej ideowej i artystycznej ekspozycji. Zwięg z właściwym sobie epickim rozmachem, nie unikając jednak subtelnego, chwilami zgoła poetyckiego liryzmu, dopowiada do historii dwojga młodych bohaterów cyklu te

(Dokończenie na str. 10)

Z Teatru im. Osterwy

## WOKOŁO „TRAGEDII OPTYMISTYCZNEJ”

ANNA TATARKIEWICZ

nym francuskim „teatrem książkowym” czasów romantyzmu, teatrem, który zrodził się z rewolucji francuskiej, a z winy mieszczańskiej cenzury nie wszedł na scenę i nie mógł się w pełni rozwinąć. Nie znaczy to oczywiście, by Wiszniewski czerpał natchnienie z Merimée’go; najprawdopodobniej ta dramaturgia, interesująca do niedawna tylko historyków literatury, była mu w ogóle nieznana. Podają to zestawienie tylko na dowód, jak analogiczne napięcia treściowe odścisną się analogicznie w kształcie formalnym.

Podobnie zresztą jak u Merimée’go, teatr Wiszniewskiego nosi charakter po części szkicowy. W „Tragedii optymistycznej” autor z wielkim rozmachem i pasją nakreślił ramy drama-

sprawie przyszłego dobra ogółu. Jest rzecznikiem praw jednostki — nie indywidualności, ale po prostu jednostki ludzkiej. Ta postawa w ciągu trzydziestu bez mała lat, które upłynęły od napisania „Tragedii optymistycznej”, obrosła wyrafinowaną argumentacją, że wspomnieć tylko mało u nas znany, ale kapitalny dla problemu traktato-esej Camusa „Człowiek zbuntowany”. Wiszniewski sprządza spór na płaszczyznę emocjonalną; w świetle naszych współczesnych doświadczeń i przemysłów czekamy wciąż jeszcze na wielką dyskusję intelektualną, której jak dotychczas żaden bodajże z dramaturgów naszego obozu — poza jednym Kruczkowskim — godnie zainicjować nie zdołał.

W OBEC tych wszystkich trudności branie na warsztat „Tragedii optymistycznej” w warunkach teatru lubelskiego było aktem wielkiej odwagi. Niestety romantyczne mierzenie sił na zamiary w praktyce nie zawsze daje najlepsze rezultaty. Spektakl lubelski został już wszechstronnie i chyba słusznie zanalizowany na łamach prasy codziennej. W przedstawieniu zabrakło tego, co jest tu sine qua non — a mianowicie wielkiej pasji, romantycznego tchnienia, i to zarówno w koncepcji reżyserskiej, jak w robocie aktorskiej. Wskutek skreślenia, przede wszystkim skreślenia węzłowej w pewnym sensie sceny zabójstwa powracających z wojny, rwie się argumentacja merytoryczna, zabrakło też w spektaklu wielkiego rytmu wewnętrznego, który scaliby poszczególne „migawkowe” fragmenty sztuki. Przedstawienie było chłodne, aktorsko tylko mniej lub bardziej poprawne, a przy tego typu sztuce to nie wystarcza. Nie widziałam niestety, ale opowiada mi o znakomitym przedstawieniu „Tragedii” wystawionej w ubiegłym roku przez MCHAT; przemawiało ono żywo do widzów wszelkiego rodzaju, ale to właśnie dzięki inwencji reżyserskiej i mistrzowskiemu aktorstwu.

Wydaje mi się, że w warunkach lubelskich należałoby sięgnąć raczej po radziecki repertuar współczesny; nie stawia on tak trudnych zadań realizatorom, a przez bliską nam problematykę bardziej bezpośrednio przemawia do widowni. Czy na przykład w mieście młodzieży akademickiej nie warto by się pokusić o wystawienie „Małej studentki”, sztuki nie największego może formatu, ale nasyconej aktualiami?

A przy okazji chciałabym upomnieć się o Brechta; w bogatej spuściznie tego wielkiego rewolucyjnego twórcy dałoby się chyba znaleźć coś odpowiedniego dla naszej sceny — uparta nieobecność Brechta jest dla widzów lubelskich jakąś zagadką.

\*) Cytuję za „Dialogiem”, nr 9 z 1959 roku.

Włodzisław Wiszniewski: „Tragedia optymistyczna” przekład Stanisława Nadzina. Reżyseria Jerzego Zegalskiego, scenografia Jerzego Toronczyka, muzyka Jerzego Prochera; obsada premierowa: Marynarz I — Witold Zarychta, Marynarz II — Kazimierz Siedlecki, Wajnonen — Stanisław Stojek, Dziobaty — Zbigniew Pleczuk, Aleksy — Stanisław Mikulski, Prowodyr oddziału anarchistów — Włodzisław Wiszniewski, Chrypa — Janusz Cywiński, Kobieta-komisarz — Wanda Westaw, Oficer dowódca — Marek Idziński, Bosman — Stefan Buczek, Marynarz III — Henryk Gońda, Marynarz IV — Tadeusz Bąk, Marynarz V — Stanisław Maleszewski, Staruszka — Halina Machulka, Herzt grupy anarchistów — Kazimierz Kurek, Oficer niemiecki — Wojciech Szostak, Duchowny — Ryszard Kolaszyński.

NAJWIĘKSZĄ ZAWADĄ  
BYŁ MU CZŁOWIEK ZŁY

(Dokończenie ze str. 6)

Porównanie z Prusem nasuwa myśl o miejscu, jakie twórczość Junosza zajmuje w literaturze tego okresu. Zarówno poprzez ideały, które chciał wyrazić w swoich utworach, jak i poprzez tematykę nowel i obrazków, zbliża się Junosza do tego, co w swej wczesnej twórczości zawarł Sienkiewicz, Prus czy inni „pozytywiści”. Nie ma tu miejsca na drobiazgową analizę porównawczą, która musiałaby uwzględnić nie tylko daty powstania poszczególnych utworów, ale i stopień artyzmu pisarzy. Tu trzeba stwierdzić jedynie, że Junosza — nieodrodny syn swojej epoki — nie był ani epigonem, ani naśladowcą niczym. Jeśli nawet niecały jego dorobek zasługuje na przypomnienie, to nie można nie zauważyć w nim utworów o niewątpliwie wartości artystycznej, naprawdę ciekawych, z niekłamną szczerością i rzetelnością malowanych obrazków z prawdziwego życia, nie można odnieść się obojętnie do cechującej ich autora humanistycznej dobroci dla małych.

Ewa Szonert

# Na przedpolach „Grossaktion“

## Rajd porucznika Podlaskiego

ZBIGNIEW JAKUBIK

Wreszcie trzeci, właściwy (choć najmniej chyba typowy dla zjawiska, które określamy jako wysiedlenie), etap hitlerowskiej „Grossaktion” rozpoczął się w czerwcu 1943 r. i trwał dwa miesiące. Akcja przeprowadzona w tym okresie na terenie czterech powiatów (w powiecie bilgorajskim, zamojskim, hrubieszowskim, tomaszowskim) była w istocie klasyczną akcją eksterminacyjną, której głównym zadaniem było zniszczenie żywołu polskiego na terenie Zamojszczyzny. Wysiedlenie przeprowadzone w lecie 1943 r. w 171 wsi w większości wypadków miało charakter wojskowej pacyfikacji i połączone było z reguły z akcją skierowaną przeciw oddziałom partyzanckim.

Owo hitlerowskie długofalowe i męczące zaniechanie terenu, tak bardzo charakterystyczne dla drugiej fazy „Grossaktion” (listopad 1942 r. — marzec 1943 r.), pozwoliło przeciw ludności polskiej ochłonąć nieco z pierwszego zaskoczenia, przemyśleć sytuację oraz przygotować się psychicznie do nadciągających wydarzeń. Przede wszystkim jednak powolno elementem bardziej uświadomionym ideowo i politycznie zorganizować siły miejscowego społeczeństwa, w takim przynajmniej stopniu, by przejść ono mogło w momencie największego zagrożenia do kontrataku i akcji odwetowej.

Oczywiście, walka ludności Zamojszczyzny z III Rzeszą przybiera w tym okresie różne formy. Dominuje wyraźnie forma biernej samoobrony: ucieczka z zagrożonych wysiedleniem terenów do sąsiednich gmin lub powiatów oraz zakopywanie lub niszczenie mienia i inwentarza. Akcja wysiedleńcza przyczyniła się również do znacznego ożywienia działalności dywersyjno-sabotażowej i spowodowała bezpośrednią akcję odwetową (np. „pacyfikacja” kolonii Udrycze, wsi Zrebce, Cieszyna, Wierzbia, Lipna, Huszczki i innych; słynna sylwestrowa akcja na obiekty kolejowe linii lwowskiej itp.). Szczególne nasilenie tego rodzaju działań dywersyjnych, które inicjuje wówczas AK, przypada na grudzień. W następnych miesiącach dochodzi także do szeregu bezpośrednich starć miejscowych oddziałów BCH z hitlerowską żandarmerią w obronie wysiedlanej ludności. Widownia tych starć stają się pograniczne tereny

styku trzech powiatów: zamojskiego, bilgorajskiego i tomaszowskiego. Rok 1942 jest dla działaczy konspiracyjnego ruchu ludowego na Zamojszczyźnie okresem ożywionej pracy polityczno-organizacyjnej. Rozrasta się w tym czasie sieć nowych służb i oddziałów (OS, SS, OB, LZK itp.), zaktywizowana zostaje działalność Trójek Politycznych, rozpoczyna się intensywne dozbieranie oraz szkolenie taktyczno-bojowe jednostek BCH. Akcja wysiedleńcza nie tylko przerywa bezapelacyjnie tę działalność, lecz grozi w konsekwencji nieuchronnym rozbięciem organizacji w tym rejonie. 8 grudnia wizytuje zagrożone tereny Komendant Główny BCH, Franciszek Kamiński — Trawiński. Na odprawie komendantów trzech obwodów BCH Zamojszczyzny: zamojskiego, tomaszowskiego i bilgorajskiego, zapada decyzja odwetowego kontruderzenia oraz przeciwstawienia się akcji wysiedleńczej z bronią w ręku. Zgodnie z planem, wkrótce po tej naradzie, tomaszowskie oddziały BCH przeprowadzają pod dowództwem por. Azji szereg wypadów na nasiedlone wsie na terenie powiatu tomaszowskiego i zamojskiego. W tym właśnie czasie zamojski oddział AK pod dowództwem por. Podlaskiego dobiega wreszcie po wyczerpującym rajdzie do okolic objętych oddziałami bojowymi i rozkwatowuje się na kilkudniowy odpoczynek pod Lasowcami.

Porucznik Podlaski pełnił od maja 1942 r. funkcję komendanta rejonu AK „Koń”, obejmującego trzy placówki: Nową Osadę, Skierbieszów i Kotlicę. Pierwszy etap jego działalności na tym odpowiedzialnym stanowisku trwał kilka zaledwie miesięcy. Okres ten poświęca nowy komendant w całości na reorganizację podległych mu placówek. Wzmocnia więc i rozbudowuje lokalne komórki ruchu oporu, werbuje ludzi, gromadzi broń i amunicję, montuje i usprawnia sieć łączności i wywiadu. Działalność bojową prowadzi w tym czasie na terenie jego rejonu, powołany do życia w lutym 1940 r., specjalny pluton dywersyjny „Orlik” (od połowy lutego 1943 r. — „Wilkina”) pod dowództwem Bogdana, potem Ryszarda.

Rozpoczęta przez Niemców akcja wysiedleńcza w powiecie zamojskim i tomaszowskim w listopadzie 1942 r. stawia przed dowództwem rejonu nowe, trudne zadania. W myśl instrukcji, członkowie organizacji z miejscowości wysiedlanych ewakuują się sprawnie wraz ze sprzętem i bronią na tereny sąsiednie, nie objęte akcją wysiedleńczą. Pluton „Orlik” przystępuje jednocześnie do zbrojnej akcji sabotażowo-odwetowej. Nowa sytuacja rodzi nowe problemy. Powstaje np. problem nieuchronnej w takich warunkach dekonspiracji, która jest bezpośrednią konsekwencją sztucznego zagęszczenia wsi niewysiedlonych ewakuowanym materiałem, bronią oraz niezdyscyplinowanymi członkami spalonych placówek. W atmosferze bowiem wzrastającego zdenerwowania i napięcia istnieje zawsze potencjalna groźba przypadkowego incydentu, który wywołać może nieobliczalne następstwa. Z drugiej strony każda, najbardziej nawet słuszna akcja odwetowa, przyjmowana jest przez miejscowe społeczeństwo coraz bardziej nieprzyjaźnie, bo naraża wysiedlone wsie na drakońskie represje i podsuwa hitlerowcom wygodny pretekst do pacyfikacji.

Por. Podlaski podejmuje w tej sytuacji ryzykowną decyzję wyprowadzenia członków ewakuowanych placówek w lasy zwierzyńskie, na kilkumiesięczne przeszkolenie i dobrojenie, by w odpowiedniej chwili wrócić w rodzinne strony z pełnowartościowym oddziałem, zdolnym do prowadzenia efektywnej akcji dywersyjnej. W decyzji tej umacniają go wieści dochodzące z południowej części powiatu, mówiące o otwartych walkach miejscowych partyzantów z niemieckimi siłami zbrojnymi. Projekt zostaje zaakceptowany przez dowódców poszczególnych placówek. Na obszerny raport wysłany w tej sprawie do obwodu nie ma jednak odpowiedzi. Realizację planu przyspiesza dosyć nieprzyjemny wypadek. 20 stycznia 1943 r. w wsi Czolniki trzech żandarmerów nakryło przypadkowo grupkę partyzantów zajętych czyszczeniem broni. Doszło do wymiany strzałów. Dwóch Niemców zabito, trzeci uciekł. Por. Podlaski nie czekając dłużej na zgodę obwodu wydaje podległym mu placówkom rozkaz mobilizacji. Koncentracja plutonów i drużyn następuje w rejonie folwarku koło Miał-

styku trzech powiatów: zamojskiego, bilgorajskiego i tomaszowskiego.

Rok 1942 jest dla działaczy konspiracyjnego ruchu ludowego na Zamojszczyźnie okresem ożywionej pracy polityczno-organizacyjnej. Rozrasta się w tym czasie sieć nowych służb i oddziałów (OS, SS, OB, LZK itp.), zaktywizowana zostaje działalność Trójek Politycznych, rozpoczyna się intensywne dozbieranie oraz szkolenie taktyczno-bojowe jednostek BCH.

Akcja wysiedleńcza nie tylko przerywa bezapelacyjnie tę działalność, lecz grozi w konsekwencji nieuchronnym rozbięciem organizacji w tym rejonie.

8 grudnia wizytuje zagrożone tereny Komendant Główny BCH, Franciszek Kamiński — Trawiński. Na odprawie komendantów trzech obwodów BCH Zamojszczyzny: zamojskiego, tomaszowskiego i bilgorajskiego, zapada decyzja odwetowego kontruderzenia oraz przeciwstawienia się akcji wysiedleńczej z bronią w ręku. Zgodnie z planem, wkrótce po tej naradzie, tomaszowskie oddziały BCH przeprowadzają pod dowództwem por. Azji szereg wypadów na nasiedlone wsie na terenie powiatu tomaszowskiego i zamojskiego.

W tym właśnie czasie zamojski oddział AK pod dowództwem por. Podlaskiego dobiega wreszcie po wyczerpującym rajdzie do okolic objętych oddziałami bojowymi i rozkwatowuje się na kilkudniowy odpoczynek pod Lasowcami.

Porucznik Podlaski pełnił od maja 1942 r. funkcję komendanta rejonu AK „Koń”, obejmującego trzy placówki: Nową Osadę, Skierbieszów i Kotlicę. Pierwszy etap jego działalności na tym odpowiedzialnym stanowisku trwał kilka zaledwie miesięcy. Okres ten poświęca nowy komendant w całości na reorganizację podległych mu placówek. Wzmocnia więc i rozbudowuje lokalne komórki ruchu oporu, werbuje ludzi, gromadzi broń i amunicję, montuje i usprawnia sieć łączności i wywiadu. Działalność bojową prowadzi w tym czasie na terenie jego rejonu, powołany do życia w lutym 1940 r., specjalny pluton dywersyjny „Orlik” (od połowy lutego 1943 r. — „Wilkina”) pod dowództwem Bogdana, potem Ryszarda.

Rozpoczęta przez Niemców akcja wysiedleńcza w powiecie zamojskim i tomaszowskim w listopadzie 1942 r. stawia przed dowództwem rejonu nowe, trudne zadania. W myśl instrukcji, członkowie organizacji z miejscowości wysiedlanych ewakuują się sprawnie wraz ze sprzętem i bronią na tereny sąsiednie, nie objęte akcją wysiedleńczą. Pluton „Orlik” przystępuje jednocześnie do zbrojnej akcji sabotażowo-odwetowej.

Nowa sytuacja rodzi nowe problemy. Powstaje np. problem nieuchronnej w takich warunkach dekonspiracji, która jest bezpośrednią konsekwencją sztucznego zagęszczenia wsi niewysiedlonych ewakuowanym materiałem, bronią oraz niezdyscyplinowanymi członkami spalonych placówek. W atmosferze bowiem wzrastającego zdenerwowania i napięcia istnieje zawsze potencjalna groźba przypadkowego incydentu, który wywołać może nieobliczalne następstwa. Z drugiej strony każda, najbardziej nawet słuszna akcja odwetowa, przyjmowana jest przez miejscowe społeczeństwo coraz bardziej nieprzyjaźnie, bo naraża wysiedlone wsie na drakońskie represje i podsuwa hitlerowcom wygodny pretekst do pacyfikacji.

Por. Podlaski podejmuje w tej sytuacji ryzykowną decyzję wyprowadzenia członków ewakuowanych placówek w lasy zwierzyńskie, na kilkumiesięczne przeszkolenie i dobrojenie, by w odpowiedniej chwili wrócić w rodzinne strony z pełnowartościowym oddziałem, zdolnym do prowadzenia efektywnej akcji dywersyjnej. W decyzji tej umacniają go wieści dochodzące z południowej części powiatu, mówiące o otwartych walkach miejscowych partyzantów z niemieckimi siłami zbrojnymi. Projekt zostaje zaakceptowany przez dowódców poszczególnych placówek. Na obszerny raport wysłany w tej sprawie do obwodu nie ma jednak odpowiedzi. Realizację planu przyspiesza dosyć nieprzyjemny wypadek. 20 stycznia 1943 r. w wsi Czolniki trzech żandarmerów nakryło przypadkowo grupkę partyzantów zajętych czyszczeniem broni. Doszło do wymiany strzałów. Dwóch Niemców zabito, trzeci uciekł. Por. Podlaski nie czekając dłużej na zgodę obwodu wydaje podległym mu placówkom rozkaz mobilizacji. Koncentracja plutonów i drużyn następuje w rejonie folwarku koło Miał-

stwy. Projekt zostaje zaakceptowany przez dowódców poszczególnych placówek. Na obszerny raport wysłany w tej sprawie do obwodu nie ma jednak odpowiedzi. Realizację planu przyspiesza dosyć nieprzyjemny wypadek. 20 stycznia 1943 r. w wsi Czolniki trzech żandarmerów nakryło przypadkowo grupkę partyzantów zajętych czyszczeniem broni. Doszło do wymiany strzałów. Dwóch Niemców zabito, trzeci uciekł. Por. Podlaski nie czekając dłużej na zgodę obwodu wydaje podległym mu placówkom rozkaz mobilizacji. Koncentracja plutonów i drużyn następuje w rejonie folwarku koło Miał-

stwy. Projekt zostaje zaakceptowany przez dowódców poszczególnych placówek. Na obszerny raport wysłany w tej sprawie do obwodu nie ma jednak odpowiedzi. Realizację planu przyspiesza dosyć nieprzyjemny wypadek. 20 stycznia 1943 r. w wsi Czolniki trzech żandarmerów nakryło przypadkowo grupkę partyzantów zajętych czyszczeniem broni. Doszło do wymiany strzałów. Dwóch Niemców zabito, trzeci uciekł. Por. Podlaski nie czekając dłużej na zgodę obwodu wydaje podległym mu placówkom rozkaz mobilizacji. Koncentracja plutonów i drużyn następuje w rejonie folwarku koło Miał-

stwy. Projekt zostaje zaakceptowany przez dowódców poszczególnych placówek. Na obszerny raport wysłany w tej sprawie do obwodu nie ma jednak odpowiedzi. Realizację planu przyspiesza dosyć nieprzyjemny wypadek. 20 stycznia 1943 r. w wsi Czolniki trzech żandarmerów nakryło przypadkowo grupkę partyzantów zajętych czyszczeniem broni. Doszło do wymiany strzałów. Dwóch Niemców zabito, trzeci uciekł. Por. Podlaski nie czekając dłużej na zgodę obwodu wydaje podległym mu placówkom rozkaz mobilizacji. Koncentracja plutonów i drużyn następuje w rejonie folwarku koło Miał-

stwy. Projekt zostaje zaakceptowany przez dowódców poszczególnych placówek. Na obszerny raport wysłany w tej sprawie do obwodu nie ma jednak odpowiedzi. Realizację planu przyspiesza dosyć nieprzyjemny wypadek. 20 stycznia 1943 r. w wsi Czolniki trzech żandarmerów nakryło przypadkowo grupkę partyzantów zajętych czyszczeniem broni. Doszło do wymiany strzałów. Dwóch Niemców zabito, trzeci uciekł. Por. Podlaski nie czekając dłużej na zgodę obwodu wydaje podległym mu placówkom rozkaz mobilizacji. Koncentracja plutonów i drużyn następuje w rejonie folwarku koło Miał-

(Dokończenie na str. 10)

Wysiedlanie ludności polskiej rozpoczęło się na terenie Zamojszczyzny 6 listopada 1941 roku. Akcja wysiedleńcza trwała niecałe trzy tygodnie. Wysiedlono w tym okresie sześć wsi w powiecie zamojskim: Huszczkę Dużą, Huszczkę Małą, Wysokie, Białobrzegi, Bortatycze, Podhuszczkę. 2098 osób schwytanych podczas akcji internowano w koszarach Łukaszyńskiego w Zamościu, potem odtransportowano do powiatu hrubieszowskiego, wreszcie, po pewnym czasie, wypuszczono na wolność. W wysiedlonych wsiach osadzili Niemcy volksdeutsche z Besarabii.

Był to wstępny, eksperymentalny w pewnym sensie etap hitlerowskiej „Grossaktion”. Drugi etap wielkiej akcji wysiedleńczej przeprowadzony został w sposób bardziej planowy. Bezpośrednią akcją, która rozpoczęła się 27 listopada 1942 r. wysiedleniem Skierbieszowa, poprzedzały wielomiesięczne przygotowania wstępne: spisywanie ziemi, ludności, budynków oraz inwentarza, sporadyczne „japanki”, wreszcie coraz częstsze wypadki zmasowania mieszkańców wsi, osiedli i miasteczek do podpinywania volkslisty.

Ta faza „Grossaktion” trwała do pierwszych dni marca 1943 r. i objęła swym zasięgiem trzy powiaty: zamojski, hrubieszowski i tomaszowski. Wysiedlono w tym okresie 116 wsi (w pow. zamojskim — 47, hrubieszowskim — 54, tomaszowskim — 15 wsi). Z przewidzianej przez Niemców liczby 140 tysięcy osób objętych planem wysiedlenia, wysiedlono w rzeczywistości: „jedynie” 41.080 osób czyli 34%.

## Jeszcze o Sienkiewiczianach lubelskich

JERZY STARNAWSKI

Przed pięciu laty ogłosiłem w „Kamieniu” artykuł zatytułowany: „Fragment dziejów recepcji Sienkiewicza w Lublinie”. Do materiałów zebranych tam dochodzą obecnie trzy dalsze drobniaki, które — podobnie jak rzeczy poprzednio ogłoszone — przydadzą się niewątpliwie autorowi przyszłego studium fenograficznego o autorze Trylogii i Krzyżaków.

Drobniaki te są następujące: 1. Kalendarz życia i twórczości Sienkiewicza opracowany przez Juliana Krzyżanowskiego podaje pod rokiem 1880 wzmiankę o odczycie Sienkiewicza w Lublinie w marcu tego roku<sup>1</sup>).

Wzmianka oparta jest o drobne notatki w „Kurierze Warszawskim” i w „Biesiadzie Literackiej”. Odsyłacz „Biesiady Literackiej” do sprawozdania w „Gazecie Lubelskiej” nie mógł być ani przez Krzyżanowskiego ani przez piszącego te słowa dokładnie udokumentowany wobec braku „Gazety Lubelskiej” z roku 1880 w bibliotekach polskich. Jedynie Rocznik Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności za rok 1880, wydany w roku 1881, podaje na s. 10 wzmiankę o dochodzie z odczytów Sienkiewicza: rb.90, kop. 40; stąd wiadomo, że odczyt urządzany był przez Towarzystwo Dobroczynności.

Niestety, księgi Towarzystwa i korespondencja — zdeponowane po likwidacji jego w Archiwum Wojewódzkim w Lublinie — nie zawierają żadnych bliższych i dokładniejszych śladów związanych z pobytem Sienkiewicza w Lublinie w roku 1880 i z wygłoszonym na rzecz Towarzystwa odczytem. Jeżeli egzemplarz „Gazety Lubelskiej” z roku 1880 nie znany bibliotekom spoczywa gdzieś zawieruszony u kogoś z czytelników „Kamienia”, należałoby go udostępnić badaczom.

2. Hieronim Lopaciński, dobrze znany miłośnikom przeszłości Lublina, pracował jako uczyony przede wszystkim na polu językoznawstwa. Sienkiewicz tworząc „Krzyżaków” — największe w literaturze polskiej arcydzieło archaizowania — konsultował w sprawach onomastycznych z językoznawcami, najprawdopodobniej warszawskimi, i może za ich radą zwrócił się pośrednio również do Lopacińskiego o pewne wskazówki. Bezpośrednia wymiana listów: Sienkiewicz — Lopaciński nie dochowała się, a może nawet nie istniała. Jedynie rękopis Biblioteki Akademii Umiejętności w Krakowie, sygn. 2273, zawiera m. in. list A. Osuchowskiego do Lopacińskiego z 1 marca 1900 r., w którym czytamy słowa następujące:

„List Szanownego Pana Profesora do Sienkiewicza pod moim adresem zaraz po odebraniu przekazałem Sienkiewiczowi — który nazajutrz za widzeniem polecił mi serdecznie podziękować Szanownemu Panu i przeprosić, że pierwszy spis zagubił. Od kilku dni Sienkiewicz bawi z dziećmi w Zakopanem i sądzę, że przez te kilka tygodni zabierze się do dalszego ciągu „Krzyżaków”

i nazwiska mazurskie w kampanii grunwaldzkiej zużytkuje...”

Jedyny to ślad kontaktu wybitnego lublinianina z wielkim pisarzem.

3. Z kolei nierzynny list Sienkiewicza. Nie łączy się on z Ziemią Lubelską, przechowywany jest jedynie obecnie w Lublinie jako pamiątka rodzinna córki adresata. Adresat, Adam Sznajko (1882—1950), pochodził z Kielecczyzny, z wioski Irządze (powiat włoszczański). W dwudziestolecie międzywojennym osiedlił się na stałe w Lublinie, był działaczem ruchu spółdzielczego. Jako dwudziestoletni młodzieniec przesłał Sienkiewiczowi kulę i kartacz wybrane na polu niepomysłnej kościuszkowskiej bitwy w dniu 6 czerwca 1794 pod Szczekocinami, podsuwając sławnemu pisarzowi nowy temat powieści: powstanie kościuszkowskie. Sienkiewicz, dziękując za ten dar, odpowiedział listem, który ogłaszam tu — wraz z fotokopią dostarczoną przez córkę adresata, mgr Helenę Sznajkową, (obecnie Szulcową), nauczycielkę Szkoły Muzycznej w Lublinie. Oto tekst listu w zmodernizowanej pisowni:

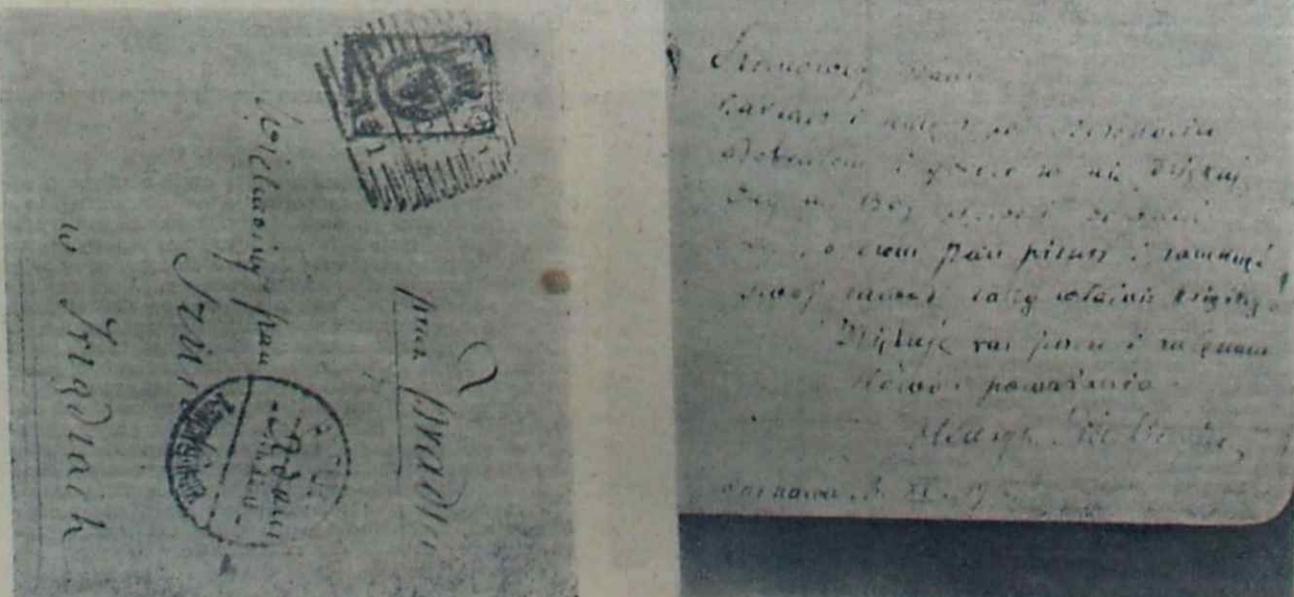
Szanowny Panie,

Kartacz i kulę spod Szczekocin odebrałem i gorąco za nie dziękuję. Oby mi Bóg pozwolił dokonać tego, o czym Pan piszesz i zamknąć swój zawód taką właśnie książką. Dziękuję raz jeszcze i żałuję słów poważania

Henryk Sienkiewicz

Warszawa, 3 XI 1902.

- 1) „Kamień” R. 22, 1955 nr 5-6-7 (99-100-101), s. 84-88.
- 2) Julian Krzyżanowski: Henryk Sienkiewicz. Kalendarz życia i twórczości. Warszawa, 1956, s. 85.



**N**IE ZDARZYŁO mi się nie trafić do łóżka, nawet po dużej wódce, i nigdy nie zbłądziłem na szafę, która stoi po prawej stronie drzwi, naprzeciwko pieca. Niech nikt nie stara się tłumaczyć, że naprzeciwko drzwi!

Wstęp jest może trochę od rzeczy, ale jasny i zrozumiały, a więc tak, jak pisać nie lubimy. Zresztą pół biedy, jeśli od rzeczy względnie szybko

kowych, o ile ujawnią się, „KAMENNA” przyjmie z okrzykiem radości (trochę zdumienia), wydrukuje i wypłaci honorarium.

Jest w Lublinie spora grupa ludzi — owych redaktorów, literatów twórców, która robi co może. Niestety, rzeczywistość nie ma u nas jakiejś wyczuwalnej, ogólnej atmosfery zainteresowania lokalną twórczością. To na pewno boli. To są te wieczory

## KAPLICZKOWE ROZWAŻANIA

ZBIGNIEW STEPEK

przechodzi się do rzeczy. Chcę mówić o sprawach oczywistych, właśnie jak szafa, łóżko, wódka, piec, a więc o kapliczkach. Nie przydrożnych. O lubelskich.

Od wieków panuje zwyczaj, że „w” albo „przy” kapliczce ten i ów pomógł się, ponarzeko. Narzekanie to przeciw naszemu narodowa specjalność. I w tym wypadku Lublin nie jest prowincją, wręcz przeciwnie, stanowi w Polsce ośrodek bardzo silny, pretendujący być może nawet do czołówki.

Krzysztof Dolewski w „Konfrontacjach” w artykule „Lublin — miasto kapliczek?” wygłosił sporo rozsądnych zdań o naszych środowiskach — studenckich i twórczych. Niestety, nie potrafił ograniczyć się do krytyki, postawienia diagnozy, zapisania recepty. Słuszne intencje autora zaciemniło i zniekształciło właśnie narzekanie.

Muszę przyznać, że nawet trudno polemizować z niektórymi tezami Krzysztofa Dolewskiego. Bo nie widzę tych redaktorów, którzy „odkrywają nowe talenty i wykańczają te, które im się naraziły”. Bo Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza nie ogranicza swojej działalności do drukowania pozycji „uznanych literatów”, chyba wręcz przeciwnie.

Cytuję: „Brak rozmachu (...) utrudnienie startu młodym krytykom, publicystom, literatom, niski poziom materiału, wyjąłowanie tematyki — oto rezultaty”. Na Allacha! Gdzież są ci młodzi publicyści, krytycy? Nie widzę, nie słyszę... Biorę natomiast odpowiedzialność za twierdzenie, że ta-

autorskie dla czterech słuchaczy, te dyskusje i odczyty wśród pustych krzeseł. Po takich imprezach, na których czasem jestem jednym z owych „czterech”, zawsze zadaję sobie pytanie: a gdzież młoda inteligencja — ta z pięciu wyższych lubelskich uczelni?

„Dren” ma trudności. „Czart” — umarł. „Prom” się rozkleił... Nie sądzę jednak, by kłody rzucające pod nogi inicjatywie były aż tak duże, aby nie można ich przeskoczyć.

Zacytujmy zakończenie artykułu Krzysztofa Dolewskiego: „upominamy się o należne nam prawo czynnego współuczestniczenia w życiu umysłowym i kulturalnym naszego miasta”.

Przed tym zdaniem staję bezradny i trochę zażenowany. Aby nie pominąć go milczeniem, ze złości reinkarnuję się w buraka i wydaję okrzyk: „Ależ uczestniczcie!”

Komitet Wojewódzki ZMS stara się przygarnąć młodych. Działalność kulturalną prowadzi ZMW. Środowisko literackie na pewno nie chce być ekskluzywne, bo rozumie, że o znaczeniu środowiska decyduje i jakość, i ilość. Widzę więcej powodów do działania — niż narzekania.

Proszę jednak nie myśleć, że nie widzę negatywów. Trudno zrozumieć, dlaczego władze Akademii Medycznej nie interesują się żywiej jedynym w Lublinie kabaretem, który ma w dorobku wiele interesujących pozycji. Nie wiem dlaczego Miejska Rada Narodowa od lat nie może załatwić problemu drugiej sceny dla Teatru imienia Osterwy. Niezrozumiała wydaje mi się beztroska o warunki mieszkaniowe artystów, działaczy kulturalnych. Trudno wytłumaczyć stosunko-

NELLY ZACHAJKIEWICZ

## Przemytnicy

Z wnętrza suszy, przez granice piasku słowa przemycają wilgotne.

Z konającej karawany ocala jedno — szlifierze głazów nie chcą wiele.

## Filizanka

W chińskiej filizance kolorowy krzyk papugi i herbaclany kwiat — błądy oddech Chn.

Pijmy smutek przywieziony z daleka — Pani siodzi?

Poezję Nelly Zachajkiewicz, szesnastoletniej uczennicy Liceum im. Unii Lubelskiej w Lublinie, cechuje rzadko w jej wieku spotykana dojrzałość, zwięzłość formy i niezwykła wrażliwość, pozwalająca rokować autorce ciekawą drogę twórczą. Wyraźne zainteresowanie egzotyką, kulturą i przyrodą Wschodu, stwarza wokół jej wierszy indywidualną, subtelną aurę światła, barw i zapachów tamtych krajów. Elementy te nie pochodzą z autopsji, są raczej odbiciem tęsknoty do owych odległych od nas, tajemniczych i delikatnych klimatów. Nelly Zachajkiewicz wypowiedziała się przeważnie w bardzo krótkich, parwersetowych utworach i to chyba pozwoliło jej uniknąć niebezpieczeństwa typowych dla tego okresu twórczości: zbytniego gadulstwa i postugiwania się dawno ograniczonymi elementami. Jest tylko pewna egzaltacja, może zbyt silna uczuciowość, grożąca sentymentalizmem, którego, miejmy nadzieję, ta młoda poetka potrafi uniknąć w dalszym rozwoju.

H. P.

## Magnolie

Szła z kwiatem magnolii. Kolorowe ptaki jej oczu odleciały do gajów japońskich — tam trzeba milczeć.

A oni pytali dlaczego nie rozumie Nie spostrzegła że rozchyliły się ręce kwiatu z którego wydzierała ustami zapach.

## Zmierzch

Przyszła z listkiem palmy w starczym oddechu w siewnie czeka ukradkiem na koniec na pomyślne wiatry

Otworzono okna — odejść nikt nie chce.

wo małą poczytność „Kamery” — jedyne dwutygodnika społeczno-kulturalnego Ziemi Wschodnich, niedocenianego i często lekceważonego nieślusnie. Nie wiem dlaczego wartościowe i ciekawe imprezy są tak słabo i niewłaściwie reklamowane przez prasę i radio.

Można mnożyć przykłady. Ale zastrzegłem się — nie chcę narzekać. Chcę, aby było lepiej. Dużo uczynić tu mogą władze miejskie i wojewódzkie, pomocą materialną i moralną. Dużo również — albo przede wszystkim — uczynić mogą młodzi. Poprzez uparte działanie.

Byłoby olbrzymim błędem nawoływać młodych do powagi. Ale na pewno gorąca krew rodzi najlepsze wyniki w mariażu z pewną dozą rozsądku. Ciekaw jestem wyników ankiety — jeśli takowa byłaby rozpisana: „Lepiej pisać we własne gniazdo — czy uporządkować je?”.

Niestety, czynność pierwsza jest o wiele łatwiejsza.

JERZY SPRAWKA

## Człowiek

Andrzejowi J.

Porzucona knajpa tła się niedopalkami wspomnienia.

Kestur chodaków łupał kamień napity cień obłąkany ciszą rzucal głową w szyby.

Dzieci

miał Je i żonę osiemset złotych zostawił tam płaczą, pieniądze Człowieku.

RYSZARD KORNACKI

## Wymiary

Mówili że umysł mam niecisły Zalutę —

Trudno mi trójkąć miłość wpisać w serece

Nie znam proporcjonalności spojrzeń

I nawet linijka ust drga niematematycznie.

WOJCIECH JERZY

ZEJDLER

## Kasztan

Kasztan to brązowe serce dziewczyny albo imię

ty wejście do siebie otworzyła także przez chwilę śmiechu

więc nie masz już swego serca bo ja trzymam w dłoni brązowy kasztan

teraz w końcu powiedz — jak się nazywasz?

DANUTA ALKORZEWSKA

## Łątka

Jak słowa gładka, lśniąca, jak oczy — lotem nierównym, prędkim znużona, na dłoń otwartą usiadła i drży, niespokojna, jak wiatr.

Aby zatrzymać dziwadło dłoń się zwinęła l., złotozielona miążga.

Zatrzymasz mnie? Po co? Jestem swobodna, jak ona, niepoważna, jak żart — zła żona.

\* Kolumna studencka „Kurier Lubelski”, 24 lutego 1961, nr 47 (1407).

Przystępuję do ciebie — z hojnymi wręcz  
darami  
bo chciałbym znowu rzecz bardzo dziękczynną  
napisać

żeś mnie przez siedem zim przeprowadziła  
przez te przekłete wieczne czasy  
przez to powietrze lodowe

żeś mi nie dała zmarnąć w złej godzinie  
w wielkich gromadach poetyckich  
przez to powietrze śmierdzące

i mówię że kto mówi to samo  
tego prędzej a później fałszywość uwrzodzi  
a miłośność zawstydzi między oczy jego  
niesłoneczne

## Mój... Młody!

JAK widzisz, dochodzi do opinii literackiej przeświadczenie, że nadrukowano masę niedorzecznych wierszy, w związku z czym należy uruchomić krytyczny przetak. Wiersz i list Słonimskiego („Nowa Kultura”, Nr 2 i 4, 1961) mają tę zaletę okolicznościową: wywołują odzew. Jak nie wywołał odzewu znacznie zdziwliwszy, agresywniejszy polemicznie tegoż autora felieton „O jeździe na gapę” („Nowa Kultura”, 23.II.1958), zawierający tę samą tezę. Widocznie trzy lata temu miano większą niż dziś pewność, że coś z tego wyjdzie.

Poza Słonimskim o poezji wypowiedzieli się Rogoziński i Grochowiak.

„Głęboka, dość osobliwa a przy tym, powiedziałbym, nader charakterystyczna sprzeczność zachodzi między dwiema kolejnymi publikacjami Antoniego Słonimskiego”. To pierwsze zdanie artykułu Rogozińskiego. Ale nawet ostatnie nie precyzuje, na czym ta sprzeczność polega. I słusznie, jako że nie można sprecyzować rzeczy nie istniejących. Teza pierwszej „publikacji Antoniego Słonimskiego”: nie belkotać, teza drugiej „publikacji Antoniego Słonimskiego”: nie belkotać. Gdzie tu sprzeczność? Rogoziński impli-cite zawarł tu zawołany zarzut, że Słonimski „Listem otwartym” nawołuje do prawdziwej poezji, a jego własny wiersz „W obronie wiersza” prawdziwą poezją nie jest. Zgoda, nie jest. Ale primo: Rogoziński nazywa go „rymowanym felietonem”, więc jako taki jest zwolniony od wysokich atrybutów poetyckich. Secundo: „rymowany felieton” jest w zgodzie ze swoją tezą, która się sprzeciwia mistyfikacji. Tertio: Słonimski nie rozpatruje sprawy, jaka powinna być poezja Słonimskiego, ale jaka powinna być poezja.

Rogoziński dalej pisze: „Słonimski proponuje środki proste i na ogół skuteczne: niemniej środków tych nie sposób stosować dziś tak, jak stosowano je przed — powiedzmy — trzydziestu laty”. Nie sposób, ale czy Słonimski na temat sposobu cośkolwiek mówi? Natomiast jest „sposobem” Rogozińskiego z lekka imputować przeciwnikowi twierdzenie, jakiego nie wypowiedział, by przy okazji w cieniu podejrzenia znalazły się jego sądy słuszne. Mówi Rogoziński o praktyce redakcyjnej, według której należy ostrożnie podchodzić do wierszy, bo w niektórych „magma w sposób niezmiernie zdradliwy bywa pomieszana z grudkami szlachetnego kruszcza”. Owszem, ale przetrada się to w masowe poszukiwanie magmy. Jest „magma”? To przypuszczalnie trafią się „grudki szlachetnego kruszcza” i drukuje się magmę. Nic dziwnego, że autorzy wierszy czują się zwolnieni od potrzeby obróbki, skoro klient — redakcja przyjmuje i takie.

„Większość z najmłodszych poetów opowiadając się szczerze za socjalizmem usiłuje jakby wyabstrahować z jego spraw swoją twórczość. Podobny rozdział daje na ogół wiersze bezkwestne”. Ze nie socjalistyczne — zgoda. Ale — przejdźmy dla większej wyrazistości na teren prozy — czy „bezkwestny” był np. Hłasko? Bardzo to uproszczona formuła związku między ekspresyjnością artystyczną a ideologicznym kierunkiem.

Zabawnie stawia sprawę Grochowiak: „Istnieje (...) wiele przykładów poezji (...), do której nazwa „belkot” byłaby z grubsza adekwatna; gdyby jednak miała występować w sensie pejoratywnym(...)”. Przetnijmy oczy. A więc istnieje możliwość traktowania belkotu w sensie melioratywnym. Ma-

ło: „Poezja niekiedy szczyty się i belkotem”. Ha, „punkt widzenia”. Tu nieodmiennie Norwid, jako żyrant wszelkiej bezsensownej gmatwaniny. Każdy okres ma swój numer kabaretowy. Za „pryszczatych” na serio rozważało się „problem” Majakowski... a Kapuściński, „obecnie chyba Norwid... a Czachorowski”. Istotnie:

o magnoliowie ogrody  
lodowe bębny  
część wam w gnat obnażenia  
to prawie „Quidam”.

Belkot jako hobby idzie w parze z nonszalancją, kiedy Grochowiak pisze o wierszu Słonimskiego: „Utwór wierszowany jest całkowicie, absolutnie szlachetny, (co z góry wyklucza mój podziw)”. Zauważmy — nie: „tylko szlachetny”, ale: „szlachetny”, jakby było oczywiste, że szlachetność z reguły nie potrafi się na nic twórczego zdobyć. Stąd wniosek dalszy: co tam naiwne świętoszkowanie, istotę poezji rozumie się w rozdarciu dzisiejszego świata, w cyklonie współczesnych prze-

## Na przedpolach „Grossaktion”

(Dokończenie ze str. 8)

czynna. Powoli ścigają poszczególne oddziały. Ostatni mieduje się pluton Ciąga, który po drodze „nastraszył” nieco kolonistów w Świdnikach. Podlaski zarządza jednoliny postój w folwarku, skąd oddział, w składzie około 100 żołnierzy (trzy kompanie), bez broni maszynowej, uzbrojony w żarzewia karabiny, zaopatrzone skąpo w zaśnieżoną, niepewną amunicję, wyrusza w nocy z 25 na 26 stycznia w rejon południowy, w kierunku Hutnik.

Warunki całonocnego, przeszło 45-kilometrowego marszu są niezwykle ciężkie. Duża pokrywa śnieżna, mróz dochodzący do 30°, brak odpowiedniej odzieży, przede wszystkim zaś odpowiedniego obuwia, brak dostatecznej zaprawy marszowej — zwiększają ryzyko i mnożą niebezpieczeństwa tego trudnego rajdu przez teren naszpikowane gęsto hitlerowskimi posterunkami i zatłoczone nasiedlonymi wioskami. W tych okolicznościach zbrojny, zimowy exodus przekształca się dla większości żołnierzy w twardy, eliminacyjny egzamin bojowy, pierwszą ogniwą próbę sił i partyzanckiego hartu.

Żołnierze przecinają szosę i tor koło Mięczyna, przechodzą przez bagno Ostrowek między Cześnikami i kolonią Niewirków, pozostawiają za sobą dogasające łuny Cieszyna, „pacyfikowanego” w tym czasie przez pluton Ryszarda i hrubieszowskie plutony por. Górala. Obok Wólki Labunieckiej i Majdanu Krynickiego oddział przechodzi dwie szosy i dobiega do kolonii Malinówka, gdzie rozkwatrowuje się w kilku chałupach, by odpocząć, opatrzyć otarte i odmrożone nogi i zacząć na maruderów. Wieczorem, po nawiązaniu stosunków z oddziałem BCH z Hutnik i życzliwym zaprowiantowaniu zamojskich partyzantów przez miejscową komórkę behowska, kolumna rusza do Bondyrza. Po przejściu Wleprza oddział zapada w lasach na południe od tej miejscowości.

W tym czasie Niemcy zaalarmowani koncentracją oddziałów BCH na styku powiatów oraz wplątani w szereg drobnych potyczek z partyzantami, kontynuują ożywioną akcją patrołową i rozpoczynają zakrojone na szeroką skalę przegrupowanie swych jednostek w rejonie Zwierzynca i Krasnobrodu.

Lokalna organizacja zarządza stan pogotowia bojowego. Por. Podlaski

ciwieństwu (czyta): w pivenicy obsiadłej przez grono enfanta terribles Krakowskiego Przedmieścia z przyległościami). Przepaszam bardzo, ale co Grochowiak Słonimskiemu może „wyjaśnić”. Przypomina młodzieńca (czy nie z „Nieba w płomieniach”?), który, zauważywszy u siebie po raz pierwszy objawy męskości, sądzi o swoim ojcu, że jest (i był zawsze) o nie uboższy.

Jak widzisz, sprawy samej poezji prawie nie tknęłam. Pozostałam cały czas w obrębie sformułowań dwóch artykułów ten temat poruszających.

Niemniej sporo satysfakcji po mojej stronie. Ze wreszcie nie monopol „nowoczesności”, choćby ograniczenie miało stopień minimalny. Przypuszczam, że każdy, kto był świadkiem dobrych dni poezji, tę satysfakcję podziela. Bo nie sama kwestia „rym, rytm”. Bez nich było wiele dobrej i ciekawej poezji. Ale poezji polegającej na wyrażaniu, to jest wynikającej z przyjęcia jakiejś rzeczywistości, a nie pisarstwa bezprzedmiotowego, zrodzonego z przeświadczenia, że — na odwrót — powstaje rzeczywistość, kiedy w jakiś sposób połączą się wyrazy. Ciekaw jestem, dlaczego młodzi ludzie tak łatwo rezygnują z prawdziwie pisarskiego zadowolenia, jakim jest uczucie towarzyszące udatnej czynności wyrażania. Pisał o tym w „Antyżyciu” („Nowa Kultura”, 18—25.XII.1960) Putrament. Banalne? Weszli już w inną epokę? Atomowa? Najświeższe z nieporozumień: toż właśnie dzisiejsza stawia wymagania, jakich nie było. Czy fizyk, który dokonał rozbitcia atomu, mógł traktować swe rzemiosło tak nonszalancko, jak malarz „tworzący” obraz rzucaniem pędzla w płótno?

Boimy się „katarynki”, „balałajki”, „strofki”. Mój drogi. Przed wszystkim takim uchroni poezja. Jeżeli będzie. Jak nie uchroni przed pustką metaforyczny zawijas, „odległość skojarzeń”, drugie i trzecie „dno” — jeżeli jej nie ma.

Ale to już pleonazm.

Twój  
Attikus

uzgadnia z dowódcą miejscowej placówki Ulanem (Skala) plan wspólnej akcji na wypadek ewentualnego ataku npla, później odchodzi z oddziałem do kolonii Lasowce. Przez kilka dni żołnierze prowadzą intensywne szkolenie i doprowadzają sprzęt do stanu pełnej użyteczności bojowej.

W nocy z 3 na 4 lutego oddział zamojski wizytuje komendant Adam w towarzystwie por. Podkowy. W czasie ich kilkugodzinnego pobytu w Lasowcach podchor. Ciąg promowany zostaje na podporucznika, jednocześnie Adam zarządza wymarsz oddziału w nocy z 4 na 5 lutego w rejon folwarku Florianka. Po przybyciu na wyznaczone miejsce oddział zostanie rozmieszczony na kwaterach, umundurowany, dobrojony rozpocznie systematyczne ćwiczenia, by na wiosnę jako stały oddział bojowy AK przejść do normalnej akcji dywersyjno-sabotażowej.

4 lutego rano, wkrótce po odejściu Adama, nadchodzi meldunek mówiący o ukazananiu się kilku wojskowych ciężarówek na pobliskiej szosie. Por. Podlaski wysłał w tym kierunku drużynę ubezpieczającą i zarządza w oddziale pogotowie marszowe. Godzina 14. Oddział jest gotowy do wymarszu. Żołnierze niecierpliwą się. Zapada wczesny zimowy zmierzch. Por. Podlaski daje rozkaz ściągnięcia placówki ubezpieczającej. W tej chwili Lasowce zatakowane zostają niespodziewanie przez Niemców, którzy wymięli ubezpieczenia i uderzyli bezpośrednio na kwatery oddziału. Skutki zaskoczenia są tragiczne. III kompania rozprasza się z miejscowości. Dwie pozostałe kompanie pod gwałtownym ogniem nieprzyjaciela bezskutecznie usiłują zająć pozycje bojowe i zorganizować obronę. Na początku starcia porucznik zostaje ranny w nogę.

W ogniu nieprzyjacielskiej broni maszynowej żołnierze zalamują się. Po półgodzinnej walce Niemcy zajmują Lasowce, partyzanci zaś rozpraszają się w terenie. Bitwa skończona.

Część żołnierzy wróciła potem do swoich miejscowości rodzinnych, część przyłączyła się do okolicznych oddziałów, ponad 20 partyzantów zginęło wtedy w nierównej walce. Oddział porucznika Podlaskiego przestał istnieć. Pozostały wspomnienia i pamięć bitwy utrwalała w żołnierskiej piosence:

Porucznik Podlaski frak miał na  
zawiaski,

## PRZEGLĄD LITERACKI

(Dokończenie ze str. 7)

wszystkie przesłanki, motywy i realia, które w pozostałych tomach „Wielkiej wojny białych ludzi”, zwłaszcza zaś w „Wychowaniu pod Verdun” i „Młodej kobiecie roku 1915”, złożyły się na proces ludzkiego, społecznego dojrzewania Lenory i Warnera Bartinów oraz ich, a zarazem i naszego, świata.

POWIEŚĆ „Gubernator” Roberta Penn Warrena obrazuje podobny proces na przesłankach trochę innego czasu i przestrzeni, przedstawiając bogate w wymowę obyczajową i psychologiczną dzieje społecznej kariery i upadku bohaterów powieści na tle przenikliwie podpatrzonego i precyzyjnie odrysowanego mechanizmu politycznego i socjologicznego Stanów Zjednoczonych. Jeżeli jednak poprzednio omówione utwory i pisarze używają swoich bohaterów, jak również fabularnej anegdoty, jako środka przede wszystkim do poznania, zrozumienia społecznego, filozoficznego rysunku swojej epoki — wybitny prozaik i eseista współczesnej Ameryki zdaje się stosować proces i metodę odwrotną, zasadzającą się na użytkowaniu imponującej uniwersalnej wiedzy o kulturze i cywilizacji naszego czasu do badania świadomości i wyobraźni, nade wszystko zaś moralności człowieka. Artyzm „Gubernatora”, który — przynajmniej w moich oczach — pasuje go na najlepszy przekład beletrystyczny (niezawodnego pióra Bronisława Zielińskiego!) roku 1960, polega na po mistrzowsku dyskretnym, nie mniej spójnym, zwartym nasyceniu fabuły powieści klimatem filozoficznym, etycznym wysokiej próby, który nie utrudniając w niczym czytelności, komunikatywności książki czyni z niej godną ze wszech miar podjęcia i naśladowania propozycję nowoczesnego moralitetu.

Wszystkich omówionych powyżej utworach ich autobiograficzność, czerpanie do nich materiałów z własnych przemyśleń i doświadczeń pisarza, ukrywały się pod różnymi, przejrzystymi (jak w „Doktorze Faustusie”), zawołanymi (jak w „Wielkim Tygodniu”) maskami i kostiumami literackimi. W „Zielonych wzgórzach Afryki” Ernest Hemingway nie tylko odrzuca wszelkie chwyt i preteksty tego rodzaju, lecz świadomie jak gdyby prymitywizuje zawarty w afrykańskich połowaniach ułamek własnego życiorysu, oprawiając go w nadzwyczaj zwięzłą, oszczędną w słowa i emocje, relację. Mimo to trudno pośadzić „Zielone wzgórza Afryki” o marginesowość, uboczność w twórczości artystycznej znakomitego pisarza, jest to bowiem książka bilansująca w sposób może nawet wyraźniejszy od poprzednio omówionych doświadczenia życiowe i artystyczne autora, wykładająca jego filozoficzne i estetyczne credo, precyzująca specyficzną dla Hemingwaya metodę pisarską. W szkicowanych z wielką siłą, dynamiką wyobraźni obrazach z polowania, w kreślonych z lapidarną celnością sylwetkach ludzi, z którymi autor „Komu bije dzwon” złączyła miłość, przyjaźń, braterstwo broni, dochodzi nadto do głosu przedziwnej czystości i siły humanizm Hemingwaya, który spokrewnia go z Mannem, Aragonem, Penn Warrenem i Zweigem, czyniąc z omówionych na tym miejscu książek lekturę nie do ominięcia.

Zbigniew Pędziński

Tomasz Mann: „Doktor Faustus”. Przekład Marii Kureckiej i Witolda Wirpery. Warszawa 1960. Czystelnik.  
Aragon: „Wielki tydzień”. Przekład J. w. Arnolda Zwiast. „Czas dojrzał”. Przekład Zofii Pytkowskiej. J. w.  
Robert Penn Warren: „Gubernator”. Przekład Bronisława Zielińskiego. Warszawa 1960. PIW.  
Ernest Hemingway: „Zielone wzgórza Afryki”. Przekład Bronisława Zielińskiego. Warszawa 1960. Iskry.

W bitwie pod Lasową pogubił obcasiki.  
I choć w szeregach zrobił dużą

dziurę,

To jeszcze teraz nos zadziera w górę.

Los oddziału porucznika Podlaskiego byłby prawdopodobnie inny, gdyby wymarsz nastąpił nieco wcześniej lub gdyby oddział bronił się nieco dłużej. W pierwszym wypadku nie doszłoby może do walki, w wypadku drugim zdążyłaby na czas odsiecz z Józefowa. W obu wypadkach o wszystkim zdecydowały minuty.

Ale to jest zupełnie inna historia.

Zbigniew Jakubik

# JAK SKROBAĆ RZEPKĘ - KAŻDY SOBIE CZY RAZEM?

(Dokończenie ze str. 1)

my zysk nie był uzasadniony ani ekonomicznie, ani moralnie.

Oczywiście nie zawsze i nie wszędzie tak się działo. Wszystko zależało raczej od osobistego poglądu dyrektora na sprawę kultury. I od głównego księgowego, który — zależnie od okoliczności — raz wyciągał zarządzenie o konieczności oszczędzania, a przy innej okazji zarządzenie o możliwości księgowania w dziale wydatków kulturalnych radia lub dywanu do czyjeś gabinetu.

Próbowałem niedawno obliczyć ile wydaje się w naszym województwie na tzw. lub rzeczową działalność kulturalną. Nic z tego nie wyszło. A przecież wydają i związki zawodowe i przedsiębiorstwa, stowarzyszenia i spółdzielnie, różne organizacje i instytucje społeczne — nie licząc oczywiście oficjalnych budżetów rad narodowych. Rzecz w tym, że niemal każdy co innego przez pojęcie działalności kulturalnej rozumie, że każdy ciągnie w swoją stronę, że nazbyt wiele rozmienia się na nierządno fałszowane drobne...

Wytyskając kilka starych i najświeższych grzeszków nie mam wcale zamiaru potępiania wszystkiego. Można by np. dużo dobrego powiedzieć o pracy kulturalnej w Białej Podlaskiej, o działalności niedawno otwartego Domu Kultury przy Łukowskiej Fabryce Obuwia, w lubelskim Domu Kolejarza czy Klubie „Zamek”. Ale uważam, że te i inne osiągnięcia nie są wynikiem jakiejś skoordynowanej, wypracowanej wspólnie działalności, tylko uporu, ba — zawziętości pewnych ludzi czy grup ludzi. Wszystko zle zaś jest wynikiem właśnie braku owej koordynacji, braku generalnego planu, braku koncentracji środków i możliwości.

Przed dwoma laty ukazało się zarządzenie ministra Kultury i Sztuki o tworzeniu komisji koordynacyjnych do spraw kultury przy radach narodowych. Być może w pogryzionych już przez szczyry protokołach znaleźlibyśmy jakieś ślady o powołaniu takich komisji na naszym terenie. Ale przynajmniej jeżeli chodzi o Lublin, to o konkretnej działalności takiej komisji „na szczeblu” wojewódzkim czy miejskim chyba nikt nie słyszał. Stąd rozproszenie środków, stąd indywidualne skrobanie rzepki, stąd księgowanie na koncie działalności kulturalnej owych dywanów (czy zauważyliście, jak co roku systematycznie w grudniu znikają ze skle-

pów dywany, właśnie wtedy, gdy „trzeba” wydać trochę pieniędzy na kulturę?).

Na jednym z ostatnich przed upływem kadencji posiedzeń Sejm uchwalił ustawę o zakresie działania ministra Kultury i Sztuki. Tylko nieliczne pisma zamieściły o tym króciutkie wzmianki. A wielka szkoda. Ustawa bowiem stwarza możliwości zupełnie innego niż dotąd kształtowania naszego życia kulturalnego. Nie chodzi tu oczywiście o twórczość artystyczną — tego nie może regulować żadna ustawa. Chodzi o to, co rozumiemy jako ową działalność kulturalną czy — bardziej oficjalnie mówiąc — upowszechnienie kultury. Ustawa postanawia, że: 1) naczelnym kierownikiem administracji państwowej w dziedzinie kultury i sztuki jest minister tego resortu, 2) zobowiązuje ministra i Centralną Radę Związków Zawodowych do opracowania zasad współdziałania w zakresie kultury i sztuki.

Postanowienia te nabiorą szczególnej wymowy, gdy przypomni sobie, że wydawane przez przedsiębiorstwa państwowe i spółdzielnie miliony na działalność kulturalną są w dyspozycji — przynajmniej formalnie — związków zawodowych. Dotychczas ani minister w skali krajowej ani wydziały kultury w skali województwa czy powiatu nie miały wpływu na to, jak wydatkowano te pieniądze. Jeżeli przewodniczący rady zakładowej nie potrafił się oprzeć woli dyrektora, pieniądze wędrowały na kupno dywanu lub powiększały „zysk” przedsiębiorstwa. Jeżeli potrafił — wszystko zależało od osobistych upodobań przewodniczącego. I jeżeli w jakiejś miejscowości pięciu przewodniczących miało słabość do zespołów teatralnych, to powstawało pięć rachitycznych zespołów tego właśnie rodzaju, przy całkowitym zaniedbaniu innych form. Rachityczne zespoły oczywiście rozlatywały się mimo dużych nakładów finansowych, ale ten czy ów związek zawodowy na okręgowym lub krajowym zjeździe mógł chwalić się: mamy tyle a tyle zespołów teatralnych.

Byłoby i nieprzychylnie i niezgodnie z prawdą twierdzenie, że działalność kulturalna opiera się wyłącznie o finans. Ale przecież sam zapal też nie wystarczy. A i najlepszy działacz kulturalny od czasu do czasu musi coś zjeść, kupić ubranie czy książkę lub gazetę. Zresztą to całkiem inne zagadnienie, tu chodziło tylko o wskazanie, że wydajemy grube milio-

ny, ale w sumie efekty mamy małe. Przyczyny, jak widzieliśmy, różne. Chodziło też o wskazanie, że mamy akty prawne, umożliwiające, a nawet nakazujące koordynację korzystania ze środków na kulturę, opracowanie jakiegoś perspektywicznego planu i oczywiście kontrolowanie jego wykonania.

Trudne to, ale i wdzienne zadanie dla nowych rad narodowych. Trudne, bo trzeba konsekwentnie odbudowywać autorytet wydziałów kultury, które niemal we wszystkich prezydiach i etatowo, i finansowo, i często personalnie znalazły się na ostatnim miejscu. Trudne, jeżeli chodzi o realizację styczniowej uchwały Prezydium WRN o zwrocie przez inne wydziały lokalni, których zadaniem było i ma być ponownie służenie kulturze. Trudne, jeżeli chodzi o prawdziwe upowszechnianie kultury, a nie o tworzenie efektownych, lecz pojedynczych zespołów czy klubów. Trudne jeżeli chodzi o powszechne zainteresowanie młodzieży jako odbiorców i twórców. A ten ostatni problem staje się na naszym terenie szczególnie palący. Nie jest przypadkiem fakt, ujawniony ostatnio na jednej z konferencji przez komendanta wojewódzkiego MO. Liczba przestępstw na naszym terenie stale maleje. W sumie. Ale jeżeli chodzi o przestępstwa popełniane przez małoletnich, to liczba ich poważnie rośnie. W r. 1959 liczba przestępstw o podłożu lub typie chuligańskim popełnionych przez małoletnich wynosiła niecałe 33 proc. ogółu, podczas gdy w r. 1960 już ponad 57 procent. Wzrost jest alarmujący duży i sądzę, że nie można przejść koło sprawy obojętnie. Myślę także, iż obok wielu innych przyczyn wcale nie najmniejszą jest fakt, że to co nazywamy upowszechnianiem kultury nie obejmuje jeszcze poważnej części naszego społeczeństwa, a najgorzej jest z młodzieżą. Właśnie ta, która po ukończeniu szkoły podstawowej jest jeszcze zbyt młoda, aby pracować zawodowo. To właśnie z niej rekrutuje się znaczna większość owych nieletnich przestępców.

I to właśnie najbardziej wdzienne pole działania dla komisji koordynacyjnych. To chyba najpilniejsze zadanie do rozwiązania w perspektywicznych planach działania kulturalnego, opracowanych w wykonaniu sejmowej uchwały o zakresie działania ministra Kultury i Sztuki. Chodzi tylko o realizację obu aktów prawnych.

Jerzy Dostatni

# ZMIERZCH KARIERY SIŁACZEK

(Dokończenie ze str. 2)

Gerlińska zarzuciła młodzieży, że zamyka się ona w wąskim kręgu spraw organizacyjnych. Potem powołany został „komitet organizacyjny”, wyjechała delegacja do Węgrowska. Władze powiatowe przychylnie załatwiły jej wnioski. Powstało ognisko. Nauczycielka została jego kierowniczką. Jej zastępcą jest przewodniczący koła. Obecnie członkowie ZMW pełnią tygodniowe dyżury, oni zamieniają rolę lekcyjną na ośrodek życia kulturalnego, a po zakończeniu zajęć przywracają jej poprzedni wygląd, mają podługą, opiekują się telewizorem.

W Miedźnie opowiadał mi kierownik ogniska o swej współpracy z bibliotekarzami.

— Przed eksperymentem kierownik biblioteki gromadzkiej zajmował się wyłącznie księgozbiorem znajdującym się w jego placówce. Obecnie udośćnił się społeczeństwu także księgozbiory szkolne. Kierownik biblioteki gromadzkiej wspólnie z kierownikiem „ogniska” planują zakup nowych pozycji, sieć punktów wiejskich i wspólnie organizują pracę z czytelnikami.

\* \* \*

Odwiedzając „ogniska”, rozmawiając z zebranymi tam ludźmi, poznałem organizacyjne formy ich pracy. Rada „ogniska”, kierownik (z reguły nauczyciel), jego zastępcą (z reguły przewodniczący miejscowego koła ZMW, a w przypadku braku organizacji młodzieżowej — ktoś z inteligencji wiejskiej), kierownicy sekcji i zespołów artystycznych, osoby odpowiedzialne za wyposażenie. Poznałem plany pracy „ognisk” sporządzane przez nie na miesiąc. W miarę jak poznałem te sprawy, coraz bardziej rósł we mnie podziw dla nauczycieli węgrowskich, dla ich ofiarności i zorganizowanego wysiłku. Przecież po to, aby prowadzić „ognisko”, nie wystarczy ich dotychczasowa wiedza pedagogiczna. Muszą więc uczyć się. W powiecie zorganizowany został trzyletni kurs dla kierowników różnych sekcji, od reżyserii teatralnej począwszy, a na kinotechnice skończywszy. Dwa razy w miesiącu przyjeżdżają nauczyciele na zajęcia i jak dotychczas ani jeden z nich nie wycofał się.

\* \* \*

Eksperyment węgrowski kosztował 1,600 tysięcy złotych. „Ogniska” wyposażone zostały w telewizory, adaptory, otrzymały podstawowe umeblowanie, a w nieelektryfikowanych wsiach agregaty do wytwarzania prądu. Dzisiaj te same ogniska nie otrzymują już pieniędzy od państwa. Pracują na własne potrzeby. Widziałem w Miedźnie puszkę nad telewizorem: „chcesz korzystać z telewizji — wrzucić tutaj 10 złotych miesięcznie”. Ponoć nie było wypadku, aby suma miesięcznych opłat była niższa od zaplanowanej. Organizowanie imprez artystycznych, a nawet potańcówek (nie do pomyslenia są na nich napoje alkoholowe), przynosi także pewne sumy, które wystarczają na potrzeby „ogniska”.

Milion sześćset tysięcy złotych to dużo pieniędzy. Nie trzeba być ekonomistą, aby wiedzieć, że państwo nie może sobie pozwolić obecnie na podobne obdarowanie wszystkich powiatów w kraju. A eksperyment węgrowski jest udany i warto by było wykorzystać go na szerszą skalę. Jakże więc istnieje wyjście?

Wydaje się, że je wskazuje samo życie. W powiecie chełmskim i łukowskim na Lubelszczyźnie bez specjalnych nakładów finansowych życie oświatowo-kulturalne zaczyna się skupiać w szkołach. Nauczyciele najbardziej predestynowani do kierowania tym życiem, nie odmawiają swej pomocy. W powiecie lubartowskim, który eksperymentuje wzorem Węgrowska, są już pewne osiągnięcia, są pewne doświadczenia, z których można korzystać nawet tam, gdzie nie ma na ten cel większych środków finansowych. W pracy kulturalno-oświatowej na wsi w obecnych warunkach, inicjatywa społeczna winna wyjść naprzeciw wysiłku państwa. Bo nie powinno być u nas miejsca dla „Siłaczek”. Potrzebny jest zbiór, zorganizowany wysiłek.

Adolf Lekki

# PERSPEKTYWY dalszego rozwoju ASTRONAUTYKI

(Dokończenie ze str. 4)

człowiekowi współczesna nauka i technika dzięki poznaniu i wykorzystaniu wielu praw przyrody. Wierzymy, że przedział ten z upływem czasu będzie się zawężał. Dlatego postępy, które prowadzą do budowy pojazdów kosmicznych, dokonane często w celach militarnych, staną się automatycznie czynnikiem przyspieszającym loty kosmiczne w celach pokojowych, w pewnym stopniu — niezależnie od intencji tych którzy pragną uczynić rakiety dalekosiężne i stacje kosmiczne środkami lub bazami agresji.

Jako jeden z poważnych argumentów przeciwko realizacji programu raketowego zdobywania Układu Słonecznego i opanowania przestrzeni kosmicznej wysuwane są względy ekonomiczne. Otóż nie wydaje się, aby względy ekonomiczne mogły zmusić ludzi do rezygnacji z ambitnych planów przeniesienia życia i ludzkiej cywilizacji na inne światy. Przypomnijmy, że łączne koszty II wojny światowej szacuje się na  $4,2 \times 10^{12}$  (bilionów) dolarów. Budżet wojskowy USA wynosi około 40 miliardów dolarów rocznie. Otóż w świetle istniejących i rysujących się możliwości produkcyjnych społeczeństw — wydaje się, że sprawa podniesienia stopy życiowej całej ludzkości na najwyższy dostępny poziom zaangażuje całkowitą potencjalną produkcję rozbrojonej ludzkości na okres 3—5 pokoleń (pod

warunkiem, że liczba ludności na Ziemi będzie stała). Zdobywanie Układu Planetarnego będzie stanowić sensowne i wystarczające ujęcie kolosalnego potencjału produkcyjnego przyszłych społeczeństw. Odległe nadzieje, jakie wiążemy z lotem kosmicznym i jego konsekwencjami, nie mogą być zresztą mierzone ani sprawdzane miarą naszych dni, naszych potrzeb i naszej cywilizacji. Dziś możemy zaledwie się domyślać znaczenia epoki kosmicznej w dziejach ludzkości. Całe nasze myślenie ukształtowane jest w sposób uwarunkowany naszym ziemskim pochodzeniem, historią naszego ziemskiego rozwoju (zarówno osobniczego jak i gatunkowego) i warunkami kształtowania się Ziemi. Znamy jeden świat — naszą planetę. Proces rozwoju gatunku ludzkiego wymaga, aby człowiek wyszedł poza swą ziemską kolebkę. Lot kosmiczny będzie stanowił dalszy postęp w rozwoju walorów duchowych, intelektualnych i materialnych człowieka, dalszy krok w jego ewolucji.

Lot kosmiczny przyjdzie równie naturalnie, jak pierwszy lot przez Atlantyk, który nastąpił z chwilą osiągnięcia wymaganego poziomu naukowo-technicznego.

Z rosnącymi możliwościami, satysfakcją dostarcza pokonywanie coraz trudniejszych barier stawianych przez przyrodę. Dlatego dokonanie lotu kosmicznego — poza wielką przygodą, poza zaspokojeniem ludzkiej ciekawości (jednego z głównych motorów postępu), poza osiągnięciami naukowymi — stanowić zarazem będzie wielką satysfakcję moralną. Jest on bowiem wspaniałą manifestacją potęgi oraz niebywałych zdolności ludzkiego gatunku, którego najznakomitszym tworem stały się nauki przyrodniczo-techniczne. Idea podróży kosmicznych kontynuuje drogę najambitniejszych zamierzeń technicznych człowieka i najbardziej zachwałych wlotów ludzkiej myśli naukowej. U początków tej dro-

gi spotykamy uroczy mit grecki o ambitym Dedalu i zuchwałym Ikarze. Zauważmy, że te bodaj najpiękniejsze mity „humanistycznej” starożytności, a więc mit o Dedalu i Ikarze oraz mit o Prometeuszu, wiążą urodę życia z wybitnymi osiągnięciami technicznymi.

I jeszcze jedną rzecz pragnęlbym powiązać z astronautyką: otóż astronautyka — wraz z jej wszystkimi konsekwencjami — może stanowić tę wielką ideę, która zjednoczy ludzkość i nauczy ją myśleć innymi kategoriami, dalekimi od wąskich partykularizmów narodowych, państwowych czy rasowych.

Jesteśmy mieszkańcami jednej planety i w skali planety musimy myśleć. To, co ludzi dzieli, należy do przeszłości i do historii, nie można pozwolić, aby przeszłość kładła się kamieniem na przyszłość. Z naszych tradycji kulturalnych musimy pozostawić tylko to, co łączy, odrzucić natomiast to, co dzieli.

Mieczysław Subotowicz

*odpowiedzi redakcji*

P. P.

Zb. Bar. we Wrocławiu. Nie skorzystamy. Kaz. Śl. w Warszawie. Brak miejsca. Mar. Wag. w Minkowicach. Wierszowany list Pani „Do Związku Literatów Polskich” przeczytaliśmy z pewnym zaambaraowaniem: nie jesteśmy wcale „wielcy” i nie nie wiemy o tym, abyśmy wskazywali „wielkość potęgę”. Cóż możemy Pani poradzić? Niestety, tych wierszy nie da się „zbadać” ani „wygadzić”. Piszcie Pani: „Proszę was, wskazać mi ma drogę”. Droga jest jedyna: uczyć się i dużo czytać.

# HOBBYSTA

ZBIGNIEW BIEGAŃSKI

ZIMORODKIEWICZ utrzymuje kontakt z całym światem. Z Anglii przysyła mu korkociągi, z Francji kieliszki, wreszcie z Włoch napoje.

Nie znaczy to jednak, że Zimorodkiewicz trzyma się jakichś sztywnych rozgraniczeń. Przeciwnie, chętnie przyjmuje również napoje z Anglii, korkociągi z Francji i kieliszki z Włoch.

— A co pan wysyła w zamian? — zapytałem.  
— Widokówki, oczywiście — odparł od razu, jakby się dziwił, że w ogóle mogę o coś takiego pytać. I dodał:

— Panie, pan nie masz pojęcia, jak tam za granicą cenią nasze zabytki! Na przykład taki Pałac Kultury, Wawel, Mariensztat. Panie, toż oni tam za tym szaleją! Nie mogę nadażyć z wysyłaniem.

— No dobrze, ale w jaki sposób pan ich zmusza do tego, żeby wysyłać to, co pana interesuje?

— Hobby, panie. Hobby — to pomost, który łączy wszystkie narody. A widząc, że nie bardzo rozeznają się w tym wszystkim — wyjaśnił:

— Wyszukuję, proszę pana, adresy zagraniczne. Wysyłam propozycje. Piszę, że mam hobby. I to dziwne hobby, ale przecież różne są hobby zdarzają. Więc zaznaczam, że ja na przykład kolekcjonuję zagraniczne wódki gatunkowe. Albo koniaki. I nie żebym sam pił, skąd, stawiam je na półkach, kataloguję, przyglądam się im, popatrzę pod światło, etykietkę ocenię, że złoty kolor i druk na poziomie europejskim i robota graficzna pierwszorzędna. Nad flaszka podumam, że kształt oryginalny, wykonanie staranne i kudy naszym do niej. Tak, panie, piszę i w dalszym ciągu mego listu zapytuję uprzejmie:

— A jakie hobby pan(i) szanowny(a) posiada?

I obiecuję, że wszelkie żądania zaspokoje natychmiast.

Więc oni (one) z reguły proszą o te widokówki. I ja natychmiast sumiennie im wysyłam, ale nie za dużo od razu, żeby tam sobie nie myśleli, że to znowu u nas tak o pocztówki łatwo... I tak, panie kochany, ta korespondencja funkcjonuje. Oni (one) kolekcje widokówek sobie uzupełniają, ja się napiję dobrego trunku po pracy, a i pocztą na tej naszej wymianie zarobi.

— No dobrze, ale po co panu tyle korkociągów i kieliszków? Przecież to niepraktyczne. Mogłby się pan ograniczyć wyłącznie do trunków. Mój rozmówca sprawiał wrażenie zawstydzonego.

— Ma pan rację, ale widzi pan, ja jestem, wstyd powiedzieć — po trosze snobem. Ja wiem, że u nas też są korkociągi i kieliszki. Ale mnie imponuje, jeżeli mogą zagraniczny trunek rozpieczętować zagranicznym korkociągiem, potem nalać go do zagranicznego kieliszka. Nie będę ukrywał, że imponuje mi, gdy zaproszę znajomych i przystępuję do otwierania butelki, a ktoś zauważy z podziwem zmieszonym z zazdrością: „O, jaki zgrabny masz korkociąg. To chyba nie nasz, co?...” Niech rzuci we mnie kamieniem ktoś, kto nie odczuwa tego samego w takim momencie...

Nie rzuciłem w niego kamieniem. A mój rozmówca tymczasem otworzył butelkę francuskiego koniaku i powiedział:

— Ten koniak to od pewnej Francuzki, cud dziewczyna, mieszka pod Paryżem, a ten korkociąg z samego Londynu od córki pewnego lorda. Pan wie, co to znaczy córka lorda?

— No a ten kieliszek? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie. Zimorodkiewicz skrzywił się:

— Tfu, cholera, krajowy... Dostałem go od córki vice-dyrektora huty szkła.

Po chwili zapytał:

— Pan wiesz, co to znaczy córka vice-dyrektora huty szkła?

— Uhm, wiem — pańska żona... Krajowa — odparłem.

— Zgadłeś pan... — westchnął i zaproponował: — Wypijmy! Wypiliśmy.

## ROZSTRZYGNĘCIE KONKURSU POETYCKIEGO

Jury Konkursu Poetyckiego pn. „Idea Lenina”, ogłoszonego w związku z Dniami Leninowskimi przez Centralny Klub Studentów Warszawy „Hybrydy”, Warszawski Klub Twórczy Młodych i Redakcję tygodnika „Przyjaźń”, w składzie: Władysław Broniewski (przewodniczący), Stanisław Ryszard Dobrowolski, Jerzy Leszcin, Jadwiga Nurkiewicz, Janusz Stawiński — postanowiło przyznać: I nagrodę w wys. 5.000 zł — Bogdanowi Drozdowskiemu (Warszawa) za wiersz „Prośba do Włodzimierza”,  
dwie równorzędne II nagrody po 3.000 zł — Witoldowi Dąbrowskiemu (Warszawa) za wiersz „Lenin”,  
Andrzejowi Zaniewskiemu (Warszawa) za wiersz „Front otwarty”,  
trzy równorzędne III nagrody po 2.000 zł — Bogdanowi Justynowiczowi (Gdańsk) za wiersz „Lenin na zesłaniu”,  
Jerzemu Lesławowi Ordonowi (Toruń) za wiersz „Miejsce umarłych”,  
Jackowi Syskiemu (Warszawa) za wiersz „Dwaj”,  
oraz siedem wyróżnień: Adamowi Anugowi z Warszawy; Czesławowi Kondraciukowi z Rzeszowa; Januszowi Laskowskiemu z Warszawy; Jarosławowi Markiewiczowi z Warszawy; Tadeuszowi Szklarkowi z Warszawy; Zbigniewowi Tyszcze z Poznania; Romanowi Woźniakowi z Warszawy.

Uwaga: Centralny Klub Studentów Warszawy „Hybrydy” i Warszawski Klub Twórczy Młodych Problematyczne Konkursy Poetyckie ogłaszają co 2 lata.

## O czym pisała „Kamena” przed 25 laty

Marcowy nr (27) „Kamena” z r. 1936 zawierał artykuł Tadeusza Bocheńskiego „Język substancją piśmiennictwa”, wiersze A. Madeja, L. Świeżawskiego, Z. Popowskiego, S. Pollaka, A. Rzeczyca, W. Podstawki, J. Wita, K. A. Jaworskiego, przekłady T. Bocheńskiego wierszy T. Szewczenki, artykuł Sergiusza Kulakowskiego „Poezja lotewska”, spolszczenia poezji lotewskiej K. A. Jaworskiego, „Z nadesłanej prozy” Z. Waśniewskiego i noty. Numer zdobiła wkładka linorytowa Zenona Waśniewskiego „Ilustracja do „Belladony” M. Grońskiego”. Z ciekawych not cytujemy:

„OBLCZE DNIA” oto nowy dwutygodnik warszawski, którego ukazał się trzeci numer. Pismo ma charakter zdecydowanie antyfaszystowski, grupując najwybitniejsze pióra lewicy literackiej najprzeróżniejszych odleci. Poza szeregiem znanych polskich nazwisk wśród współpracowników dwutygodnika figurują tacy pisarze zachodnio-europejscy, jak R. Rolland, A. Sincclair, L. Aragon, Luc Durtain i in. W ostatnim numerze zastępują na uwagę głos J. N. Millera „Wolności dla Thälmana”, domagający się nacisku opinii międzynarodowej celem uwolnienia ofiary hitlerowskiej przemocy z więzienia. M. Bibrowski w artykule „Sześćdziesiąt pięć lat” przypomina postacie Jarosława Dąbrowskiego i Walerego Wróblewskiego, wodzów Komuny Paryskiej, i cytuje jakże aktualne dzisiaj fragmenty z pamfletu W. Hugo „Napoleon Mały”. Wiersz A. Wolicy „Genealogia” — ładny, ale ustępuje podobnej „Odzie do mojej córki” E. Szymańskiego („Lewy Tor” nr 1 — 2), pod którego widocznym wpływem powstał. Na marginesie tych wierszy nasuwa się mimowolna uwaga, czy nie tworzy się wśród niektórych naszych poetów pewnego rodzaju snobizm pochodzenia: jak dawniej szczycono się herbami i hrabią czy innym baronem wśród przodków, dziś podkreśla się rodowód proletariacki. A przecież to nie nie przesądza: hrabia Worcel i księżka Kropotkin z jednej strony, a syn kowala, Benito, i malarz pokojowy — z drugiej — mogłoby o tym wiele powiedzieć.

PO KONFISKACIE NRU 25 „PŁOMYKA” należałoby się zabrać z kolei do „Pieśni o

ziemi naszej”, wypisów na klasę piątą szkoły powszechnej J. Balickiego i S. Majkowskiego. Figurują tam między innymi cytanka pt. „Handel z Sowietami” pióra J. Bandrowskiego. Znajdujemy tam także wysoce niebezpieczne zdanie: „...jeśli się pracuje na wielką skalę, jak teraz w Rosji, dającej szybkim krokiem ku uprzemysłowieniu”, „...masz znowu inną wielką sprawę: elektryfikację Rosji. Jest to przedsięwzięcie olbrzymie”. Oni owoce mają wspaniałe... gruski przepięknie i jabłka, jakich świat nie widział”. Nie żartujemy, tylko rozumiemy logicznie.

## KSIAŻKI NADESLANE

1. Czesław Janczarski — Dżbanek i źródło Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1960
  2. Kazimierz Brandys — Listy do pani Z. 2 t. PIW, Warszawa 1960
  3. Walter Jens — Testament Odysa, przełożył Witold Wirpsza, PIW, Warszawa 1960
  4. Edward Csato — Szkice o dramatach Słowackiego, PIW, Warszawa 1960
  5. Jan Kasprzowicz — O bohaterskim koniu — walącym się domie, PIW, Warszawa 1960
  6. Czingiz Ajmatow — Dżamila, przełożyła Krystyna Latoniowa, PIW, Warszawa 1960
  7. Jan Kochanowski — Dzieła Polskie — opracował Julian Krzyżanowski PIW Warszawa 1960
  8. Jurij Kazakow — Brzydka dziewczyna, przełożyła Witolda Jurkiewicza, PIW Warszawa 1960
  9. Charles Morgan — Akcja „Splyw”, przełożyła Agnieszka Glinczanka, PIW Warszawa 1960
  10. Witold Wirpsza — Don Juan, PIW, Warszawa 1960
  11. Mihail Sadoveanu — Zaginiony, przełożył Rajmund Florans, PIW, Warszawa 1960
  12. Edward Ligoński — Kurs na Gibraltar, PIW, Warszawa 1960
  13. Władysław Broniewski — Moje przyjaźnie poetyckie, PIW, Warszawa 1960
- Stanisław Czycz — Berenais, PIW, Warszawa 1960, wyd. 1.  
Wiktor Woroszyński — Wanderjahre (wiersze), PIW, Warszawa 1960.  
Zygfryd Sawko — Okno na płaskach, PIW, Warszawa 1960.

## NOTY

DOBRE UCZYNIŁ „ŚWIAT” (NR 8) zamieszczając reportaż K. Dzięwanowskiego z wizyty u prof. Władysława Szafera nie tylko wielkiego uczonego — botanika, ale i nieustraszonego bojownika o ochronę przyrody w Polsce i inicjatora założenia w niej parków narodowych i rezerwatów. Porażka, jakiej doznał przed wojną, przeciwstawiając się budowie kolejki linowej na Kasprowy, nie powinna powtórzyć się teraz, kiedy profesor broni nienaruszalności szczytu Świętego Krzyża w górach Świętokrzyskich, gdzie projektuje się wzniesienie wieży telewizyjnej.

BLĘDY JEZYKOWE wdierają się natrętnie nawet na łamy pism literackich. Oto w nrze 9 „Nowej Kultury” („Wenus — gwiazda poranna”) autor pisze na wstępie: „Nie publicysta, nie fachowiec, nie polityk — a (!) właśnie poeta”. Nie wolni są od błędów i poloniści (wypowiedzi w nrze 9 „Życia Literackiego”): „Czy istotnie nie należałoby wprowadzić zmian programowych i jakoś inaczej ustawić metodykę (!) nauczania literatury...”, „...w ślad (!) za tym zebraniem niewątpliwie pójdą jakieś pojęcia taktyczne”, „usiłujący bronić młodzież (!)”. W tym samym numerze „przy udziale” (zamiaszt: z udziałem) w artykule „W szwajcarsi”.

UROZCZA KSIĄŻKA, którą polecamy miłośnikom podróży — „Poślubiam przygodę” Oxy Johnson (wyd. „Iskry”). Starsza generacja pamięta „Congorille”, przedwojenny film, który urzekł nas świetnymi zdjęciami przedstawiającymi życie na swobodzie dzikich zwierząt afrykańskich, na które Martin i Osa Johnson polowali swoimi aparatami. Wspomnienia z tych wędrowek autorka skreśliła z dużą bezpośredniością, ciepłem i humorem. Należy podziwiać odwagę tej kobiety, która wiernie towarzyszyła

meżowi w trudnych i niebezpiecznych wyprawach na wyspy polinezyjskie, do Bornea i Afryki.

RELACJE JANA JÓZEFA SZCZEPAŃSKIEGO („Zatoka Białych Niedźwiedzi”) Wyd. Literackie z jego trzymiesięcznego pobytu na Spitzbergenie (udział w letniej wyprawie naukowej St. Siedleckiego i towarzyszy w r. 1939) czyta się z dużą ciekawością ze względu na egzotyczny temat wyzyska-

ny nie przez „specjalistę” od północy, jak Nansen czy Amundsen, a u nas Centkiewicz, Siedlecki czy Różycki, ale przez człowieka, który ten surowy a piękny kraj oglądał po raz pierwszy. Stąd świeżość spojrzenia. Ale to nie jedyny walor tej książki. Lekturze jej towarzyszą „przeżyłca” artystyczne i intelektualne. Bo J. J. Szczepański rozsiadł w niej sugestywne opisy morza, gór i lodowców, przedstawił żywe postacie ludzi, z którymi się stykał, i zawarł w niej sporo interesujących spostrzeżeń i re-

fleksyj. Opowiadanie o spotkaniu polskich naukowców z zalogą „Antona Dohna”, statku Instytutu Rybołówstwa w Hamburgu, rozmowa St. Siedleckiego z profesorem niemieckim, lakoniczna wzmianka kierownika wyprawy polskiej o śmierci jego ojca, Michała Siedleckiego, w obzwole koncentracyjnym, ma swą dramatyczną wymowę w podobnych okolicznościach. Tej sceny czytelnik nie zapomni.

-kaj-

Z archiwaliów literackich Miroslawa Dereckiego

## W stronę średnich — kolumna automatyczna

STANISŁAW WERESZCZUK

Matulu matulu

A co ja bym to dał  
Żebym pisać umiał  
Bym się na tych nowych  
Wierszykach rozumiał.  
Powiedzia matulu  
Kędy do nich droga  
Na kolanach pójdę  
Nie tylko na nogach.  
Śniad deszczu śniad  
Idzie nocka idzie  
Poratujcie matuś  
Literata w bidzie.

APOLINARY-  
WOJTEK-MARIA  
KORZEN

Erotyk

seledyn pieszczot  
westchnienie uczuć  
tak długo  
w  
nocne wieczory  
w dzieńne poranki  
krzyczę  
cheu  
przybądź do mnie  
i daj mi  
twoje spontaniczne  
piersi

GIOVANNA  
SZWARC

Profile

(Mojemu dobremu  
przyjacielowi,  
Mironowi  
Białoszewskiemu)

Czas płynie obok  
korytarzem  
Van Gogh  
gra na fujarce —  
— Don Kichotte  
czerwony  
moich westchnień  
a za oknami śnieg,  
wrony na śniegu...